



MEDYK BIAŁOSTOCKI

MIESIĘCZNIK UNIWERSYTETU MEDYCZNEGO W BIAŁYMSTOKU

NR 03 (107)

BIAŁYSTOK, MARZEC 2012

ISSN 1643-2734



Wybory

2012 – 2016

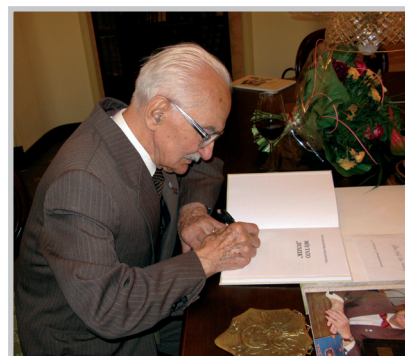


Nie możemy funkcjonować w oderwaniu od rzeczywistości. Stawiamy na badania wdrożeniowe –
mówi rektor UMB, **prof. dr hab. Jacek Nikliński**

5

8

Pytany o wiek, odpowiadał, ile mu brakuje do setki.
Zabrakło 10 lat – pożegnanie
prof. dr hab. Władysława Gałasińskiego



O zauroczeniu wszechświatem i pokorze naukowca opowiada
prof. dr hab. Mieczysław Chorąży

12

13

Eutanazja, czyli niebezpieczne praktyki –
rozmowa z **prof. dr hab. Stanisławem Pużyńskim**



Relacja **Ewy Szczepaniak** z pobytu w Oxfordzie

15

- 4 Wyniki wyborów 2012 – 2016
- 5 Stawiamy na naukę innowacyjną
- 7 Pracowitość i rzetelność naukowa
- 8 Takich ludzi się nie zapomina
- 9 Stowarzyszenie Przyjaciół Serca zakończyło bieg
- 10 Nauka a wiara
- 12 Zauroczenie wszechświatem
- 13 Eutanazja – złe doświadczenia
- 14 Podlaskie Warsztaty Psychiatryczne
- 15 Wizyta w Oxfordzie
- 17 Neuroinfekcje
- 17 Doktor Football
- 19 Lekarze białostoccy w okresach: międzywojennym i powojennym
- 21 Zoo i medycyna
- 22 Z szotem w garści
- 25 Jak precelek uczył stadion
- 26 Białystok garnizonowy
- 29 Wydarzenia i aktualności
- 30 Biblioteka

Materiały do numeru przyjmujemy do dn. 10 każdego miesiąca.

Skład redakcji:

Redaktor naczelny: Lech Chyczewski • **Zastępca redaktora naczelnego i kronikarz:** Krzysztof Worowski • **Sekretarz redakcji:** Danuta Ślósarska • **Redakcja stylistyczna i korekta:** Beata Jarmuszewska • **Członkowie:** Magdalena Grassmann, Adam Hermanowicz, Alina Midro, Wojciech Sobaniec, Anna Worowska • **Współpracownicy:** Tomasz Dawidziuk, Jan Pietruski • **Skład komputerowy:** SMD - Studio Graficzne Jerzy Czykwin • **Druk:** Orthdruk Sp. z o. o. • **Projekt strony internetowej:** Monika Fiedorowicz • **Zarządzanie stroną:** medyk.umwb.edu.pl: Beata Jarmuszewska •

Adres redakcji:

Biblioteka Główna Uniwersytetu Medycznego, 15-089 Białystok, ul. Kilińskiego 1, tel. (085) 748-54-85 (Danuta Ślósarska), e-mail: danka@umwb.edu.pl e-mail: medyk@umwb.edu.pl, http://www.umwb.edu.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opracowania tekstów oraz zmiany ich tytułów.

W większości są młodzi. Jak na swój wiek, mają duży dorobek naukowy i znaczne osiągnięcia organizacyjne. Zdobyli już doświadczenie i uznanie w środowisku akademickim. Wyniki wyborów władz uczelnianych pokazały, że kandydatury zostały przygotowane precyzyjnie i z rozwagą. Każdy z kandydatów został zaakceptowany niemal przez aklamację.



Nowe władze uczelni przedstawiamy na okładce. Ich fotografie tworzą swoisty bukiet wiosenny. Oby zwiastował Uniwersytetowi Medycznemu dalszy rozwój, świeżość, młodość i prężność. Życzymy tego naszej Alma Mater i wszystkim członkom społeczności. Pozostały jeszcze wybory prodziekanów. Miejmy nadzieję, że odbędą się w podobnym stylu.

Wczoraj miałem kilka telefonów z redakcji lokalnych mediów z pytaniem, ile kosztowała uczelnię reklama w ostatnim odcinku serialu *M jak Miłość*? Początkowo nie wiedziałem, o co chodzi. Wy tłumaczono mi, że w filmie jest dialog między synem a matką, dotyczący UMB i naszego grodu. Otóż we wspomnianym odcinku młody człowiek wybiera się studiować medycynę. Przekonuje matkę, że najlepiej podjąć studia medyczne w Białymstoku, ponieważ jest tam prężny, dobrze zorganizowany i świetnie wyposażony Uniwersytet. Nie dość tego – samo miasto jest atrakcyjne i ma wiele walorów. Nic dodać, nic ująć.

W zamierzonych czasach, prawie pół wieku temu, ja również przekonywałem swoich nauczycieli z szacownego, prastarego Liceum Ogólnokształcącego im. St. Małachowskiego w Płocku. Moi wychowawcy dziwili się, że pomimo bliskości Warszawy i Łodzi, zamierzam studiować medycynę w Białymstoku. W Białymstoku – oznaczało gdzieś na peryferiach, w mało znanej, najmłodszej wówczas uczelni medycznej. Dodam, że mogłem poszczycić się najlepszą w szkole maturą. Chociaż mój wybór był intuicyjny, nie był pozbawiony także przesłanek rozumowych. Białystok skusił mnie wówczas swoją młodością, terytorialną zwartością uczelni oraz pięknymi okolicami. Intuicja mnie nie zawiodła. Okazuje się, że walorów tych nie straciły do dziś – ani uczelnia, ani miasto. Ba, nie tylko nie straciły, ale jeszcze istotnie je pomnożyły. O planach rozwoju naszej uczelni można się dowiedzieć z wywiadu z rektorem elektem i jednocześnie urzędującym na tym stanowisku – prof. Jackiem Niklińskim.

Jak się wydaje, skład władz uczelnianych na następne cztery lata dobrze rokuje. Dobrze rokuje uczelni, pracownikom, a przede wszystkim kandydatom, studentom i przyszłym absolwentom UMB. Oby po upływie następnej połowy wieku, kandydat na studia, a po sześciu latach absolwent UMB, tak jak ten wirtualny z serialu *M jak Miłość*, stwierdził na łamach obrosłego już w historię – 100-letniego *Medyka Białostockiego*: „... studiowałem nie tylko na bardzo dobrej uczelni, ale także w pięknym i niezwykłym mieście”.

Bieżący numer *Medyka*, z przyczyn od nas niezależnych, ukaże się już po Świętach Wielkanocnych. Wszak na dobre życzenia nigdy nie za późno. Składamy je naszym Czytelnikom, polecając reportaż z sympozjum *Nauka a Wiara*. Sympozjum, o którym dyskutuje się do dziś, zorganizowała Katedra Teologii Katolickiej UwB i Katedra Biostruktury UMB.

Wyniki wyborów 2012 – 2016

Rektor UMB

Prof. dr hab. Jacek Nikliński

Prorektorzy:

Prof. dr hab. Adam Jacek Krętowski

– ds. Nauki

Prof. dr hab. Zenon Dionizy Mariak

– ds. Klinicznych i Kształcenia Podyplomowego

Prof. dr hab. Adrian Chabowski

– ds. Studenckich

Dziekani:

Prof. dr hab. Irina Kowalska

– Wydz. Lekarski z Oddz. Stomatologii i Oddz. Nauczania
w Języku Angielskim

Prof. dr hab. Elżbieta Skrzydlewska

– Wydz. Farmaceutyczny z Oddz. Medycyny Laboratoryjnej

Prof. dr hab. Sławomir Jerzy Terlikowski

– Wydz. Nauk o Zdrowiu

Wybory prodziekanów odbędą się 17 kwietnia br.

Z Rektorem UMB,
obecnej i przyszłej kadencji,
prof. dr. hab. Jackiem Niklińskim,
rozmawia Danuta Ślósarska.



Stawiamy na naukę innowacyjną

Satysfakcjonuje zapewne Pana, Panie Rektorze, wynik wyborów?

Gdy 97 na 98 elektorów głosuje na „tak”, to trudno nie odczuwać satysfakcji. Ten wynik wskazuje na to, że okres mojej poprzedniej kadencji rektorskiej został przez społeczność akademicką oceniony pozytywnie. Mam więc poczucie dobrze spełnionego obowiązku, ale jednocześnie odczuwam ogromną odpowiedzialność wobec wyborców. Zaufanie, jakim obdarzyli mnie na kolejne cztery lata, zobowiązuje.

Nauka w Polsce nie może funkcjonować w oderwaniu od rzeczywistości i trendów światowych

A mnie, Panie Rektorze, ten jeden głos przeciwny zaintrygował. I tak się zastanawiałam, czy to Pan siebie nie lubi, czy może było to zamierzone działanie, aby wynik nie był tak idealny?

Przyznam, że się tym jednym głosem w ogóle nie zajmowałem. Procedura głosowania jest tajna i po drodze może zdarzyć się wszystko. Każdy ma prawo zasygnalizować swoje stanowisko. Wynik, aż do chwili ogłoszenia go przez Komisję Wyborczą, jest niewiadomy.

A sprawia Panu przyjemność przystępowanie do konkursu, gdy nie ma konkurencji?

Zawsze jest ciekawiej, gdy jest rywalizacja, ale jak widać moi współpracownicy, podobnie jak ja, uznali, że ten kto rozpoczął inwestycje, powinien je również zakończyć. Pewnie dlatego nie zgłoszono innych kandydatów na to stanowisko.

Czy w związku z tym obok tego samego rektora będą ci sami prorektorzy i dziekani?

Ze względów proceduralnych będą niewielkie zmiany. Profesora Roberta Flisiaka na stanowisku prorektora ds. dydaktycznych zastąpi prof. Adrian Chabowski, dziekanem wydziału lekarskiego w nowej kadencji będzie prof. Irina Kowalska, a wydział nauk o zdrowiu reprezentować będzie dotychczasowy jego prodziekan, prof. Sławomir Terlikowski. Nazwiska prodziekanów nie mogę jeszcze podać, bo wybory na te funkcje dopiero przed nami.

Domyślam się, że w nowej kadencji skoncentruje się Pan zatem na kontynuacji zadań rozpoczętych w poprzedniej kadencji?

Najbliższe lata będą związane z rozbudową i modernizacją szpitala uniwersyteckiego. W latach 2008 – 2010 udało nam się uzyskać potrzebne fundusze i pozwolenia na rozpoczęcie tej inwestycji, dzięki czemu mogliśmy uruchomić procedury przetargowe, wyłonić projektantów, wykonać plan zagospodarowania przestrzennego. W roku 2011 przeprowadzono modernizację mediów energetycznych, wodociągowych, gazowych i rozpoczęto budowę nowego skrzydła

szpitala. Zgodnie z harmonogramem, pod koniec tego roku powinniśmy otrzymać budynek w stanie surowym zamkniętym, z wykończoną elewacją i przygotowanym na dachu lądowiskiem dla helikopterów. Jeśli wszystko dobrze pójdzie i na czas będziemy otrzymywali dotacje z budżetu państwa, jesienią 2013 roku będziemy już przenosić kliniki do nowych pomieszczeń. W następnej kolejności czeka nas rozbudowa bazy na potrzeby kształcenia studentckiego i podyplomowego. Mam tu na myśli, przekazany nam przez władze

Powołaliśmy do życia Centrum Badań Innowacyjnych. Chcemy postawić na badania wdrożeniowe

Białegostoku, Wojewódzki Szpital Specjalistyczny im. K. Dłuskiego na Dojlidach.

Ale w tej decyzji jest jeszcze kilka spornych i nie do końca wyjaśnionych kwestii.

Procedury dotyczące przekazania gruntu i mienia zostały już formalnie zakończone. Jest zgoda Urzędu Marszałkowskiego, samorządu województwa podlaskiego i radnych. Mamy także podpisany akt notarialny, ale na razie nie możemy nic zrobić, ponieważ decyzję organu założył

cd. na str. 6 →

cd. ze str. 5 →

cielskiego oprottestowały związki zawodowe. Sprawę rozpatruje Wojewódzki Sąd Administracyjny.

Jakie są uzasadnienia strony protestującej?

Nie mogę się na ten temat wypowiadać wiarygodnie, bo nie znam szczegółów. W tej sprawie Uniwersytet Medyczny nie jest stroną i nikt z nas nie ma wglądu w dokumentację procesową. Spór toczy się między związkami zawodowymi a organem założycielskim szpitala zakaźnego. Nam pozostaje tylko czekać na ostateczną decyzję.

Ruszył, ogłoszony przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, konkurs na Krajowe Naukowe Ośrodki Wiodące, tzw. KNOW. Jakie warunki trzeba spełnić, aby ubiegać się o ten status?

Ustawa tego nie precyzuje, ale na podstawie analizy wniosku konkursowego wiemy, co będzie oceniane. Komisja, składająca się z naukowców reprezentujących najbardziej prestiżowe ośrodki naukowe z kraju i zagranicy, będzie analizowała potencjał naukowy kandydujących jednostek, międzynarodowe wskaźniki publikacji i cytowań, realizowane granty badawcze, wdrożenia i patenty oraz plany naukowego rozwoju. Miano KNOW w naukach medycznych i naukach o zdrowiu mogą uzyskać tylko trzy ośrodki naukowe w kraju, więc nie dziwnego, że konkurencja i emocje są ogromne.

Czy za tym mianem idą konkretne przywileje?

Najlepsze jednostki w swoich dziedzinach na prowadzone badania naukowe będą otrzymywać przez pięć kolejnych lat dodatkowe finansowanie z budżetu państwa. Mówi się o kwocie prawie 50 mln złotych, która ma być przeznaczana na wzmocnienie potencjału naukowego, rozwój naukowy kadry, nowatorskie projekty naukowe, zatrudnienie naukowców z zagranicy, współpracę międzynarodową. Koncentracja środków finansowych w jednej instytucji stwarza ogromne możliwości jej rozwoju i jednocześnie pozwala na budowanie silnej marki.

Jak Pan ocenia szanse naszego uniwersytetu w tym konkursie?

Jestem przekonany, że nasza uczelnia złożyła bardzo dobry projekt. Dotyczy on bioinformatyki i metabolityki. Zakładamy, że będzie on realizowany

wspólnie z dwoma zagranicznymi ośrodkami naukowymi – belgijskim w Hasselt i hiszpańskim w Madrycie, oraz z Polską Akademią Nauk. Myślę więc, że w takim otoczeniu jesteśmy poważnym aplikantem do miana ośrodka wiodącego. Trudno mi ocenić nasze szanse, bo nie znam siły naukowej innych ośrodków aplikujących w tym projekcie, ale wierzę, że konkurs będzie uczciwy i oparty na wnikliwej analizie.

Jaka jest mocna strona uczelni, którą Pan zarządza?

Efektywność naukowa! W ubiegłorocznym rankingu *Rzeczpospolitej i Perspektyw* uznani zostaliśmy za najlepszą uczelnię w Polsce w tej właśnie kategorii. Warto przypomnieć, że w przeliczeniu na

*Aplikujemy w konkursie
o miano Krajowego Naukowego
Ośrodka Wiodącego, tzw.
KNOW. Naszą mocną stroną
jest efektywność naukowa*

osobę mamy najlepszy wskaźnik publikacji i cytowań, a oprócz tego w ostatnich latach wykształciliśmy największą liczbę doktorów, doktorów habilitowanych i profesorów. Za te osiągnięcia przyznano nam nagrodę specjalną pn. „Kuznia Kadr”. Poza tym w ostatniej parametryzacji, przeprowadzonej przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, nasze trzy wydziały otrzymały kategorię „A”, czyli najwyższą. Wydziały lekarski i farmaceutyczny uzyskały drugą lokatę, a najmłodszy z naszych wydziałów, wydział nauk o zdrowiu, okazał się najlepszy w kraju.

Czy naukowcy białostockiego uniwersytetu medycznego biorą udział w jakis szczególnych, unikatowych, międzynarodowych badaniach naukowych?

Mamy podpisanych ponad 25 umów międzynarodowych i siłą rzeczy uczestniczymy w wielu ciekawych projektach badawczych. Każdy z tych projektów jest w jakiejś części unikatowy i nowatorski. Ponad stu naszych pracowników, dzięki funduszom unijnym, wyjechało na za-

graniczne stypendia naukowe i prawie tyłuż samo przyjęliśmy u siebie profesorów wizytujących. Wymiana myśli to jedna z form rozwoju nauki.

Czy naukowo podążamy w tym samym kierunku, do którego zmierzają inne, bardziej od nas rozwinięte, kraje europejskie?

Bez odpowiedniej infrastruktury i sprzętu nie ma takiej możliwości, aby udało się nam je dogonić. Dlatego postanowiliśmy zmienić nieco pryncypia. Nie dalej niż miesiąc temu oddaliśmy do użytku Euroregionalne Centrum Farmacji. Obiekt ten oprócz tego, że służy do celów dydaktycznych, jest także potężnym i doskonale wyposażonym inkubatorem naukowym. Kadra naukowa wydziału nauk o zdrowiu także pracuje już w nowym budynku i doskonale wyposażonych laboratoriach. W roku 2010 powołaliśmy do życia Centrum Badań Innowacyjnych, czyli taką wirtualną instytucję, która ma za zadanie koordynowanie współpracy wszystkich wydziałów naszej uczelni z ośrodkami krajowymi i zagranicznymi. Chcemy postawić na naukę innowacyjną, która współpracuje z gospodarką. Mamy również nadzieję, że za dwa lata, w ramach białostockiego parku naukowo-technicznego, powstanie w naszym mieście potężne laboratorium nowoczesnego obrazowania. Będzie to łącznik nauki z przemysłem i gospodarką. Do tego zmierzamy.

A reforma szkolnictwa wyższego w tym nie przeszkodzi? Jak Pan myśli – idzie ona w dobrym kierunku?

Jestem przekonany, że tym razem idziemy dobrą drogą, bo reforma stawia wreszcie na element twórczy w nauce, a nie odtwórczy. To zadanie, którego podjęła się minister Barbara Kudrycka, nie było łatwe i wywoływało początkowo wiele kontrowersji. Dziś już reforma w środowisku akademickim coraz częściej jest akceptowana i oceniana pozytywnie. Wszyscy wiemy, jak trudno przekonać ludzi do zmiany myślenia i odrzucenia stereotypów. Naukowcy w tej kwestii nie są wyjątkiem. A przecież nauka w Polsce, co wydawałoby się logiczne, nie może funkcjonować w oderwaniu od rzeczywistości i trendów światowych. My to doskonale rozumiemy i dlatego nie boimy się reformy. Popieramy ją i będziemy konsekwentnie dążyć do tego, aby spełnić jej wymogi.



Prof. dr hab.
Władysław Gałasiński
(1922 – 2012)

Pracowitość i rzetelność naukowa

Profesor Władysław Gałasiński był wieloletnim kierownikiem Zakładu Chemii Ogólnej Wydziału Lekarskiego, później Zakładu Chemii Ogólnej i Organicznej Wydziału Farmaceutycznego AMB. Kierownictwo Zakładu Chemii Ogólnej objął na początku lat siedemdziesiątych i pełnił tę funkcję przez 20 lat. Wraz z asystentami z zespołu prof. Juliusza Popowicza, poprzedniego kierownika zakładu, podjął inicjatywę przygotowania skryptu do ćwiczeń z chemii ogólnej oraz napisał skrypt wykładowy do tego przedmiotu. Po zniesieniu egzaminu z chemii, opracowywał zestawy pytań, które przez wiele lat były podstawą zaliczania kolokwium z chemii przez studentów pierwszego roku wydziału lekarskiego i oddziału stomatologii.

Profesor Gałasiński, jako absolwent Wydziału Farmacji Uniwersytetu Warszawskiego, był jednym z inicjatorów i twórców powołania Wydziału Farmaceutycznego na ówczesnej AMB. By wzmocnić ten wydział w początkach jego istnienia, doprowadził do włączenia Zakładu Chemii Ogólnej do struktury Wydziału Farmaceutycznego, na którym – jako Zakład Chemii Medycznej – pozostaje do dzisiaj.

Tematyka naukowa Profesora dotyczyła struktury i funkcji kwasów nukleinowych i wynikała z doświadczeń wyniesionych z pracowni prof. Kiviego Moldavego na Uniwersytecie w Pittsburghu (USA). Obaj profesorowie przez cały późniejszy okres utrzymywali ze sobą serdeczny kontakt.

Profesora Gałasińskiego cechowały: niezwykła pracowitość, gotowość do poświęceń, upór w dążeniu do celu i rzetelność naukowa. Podziwialiśmy jego niezachwiane

przekonanie o słuszności własnego punktu widzenia. W zakresie struktury i funkcji kwasów nukleinowych był uznanym autorytetem. Pasjonował się izolacją i badaniem funkcji tzw. czynników elongacyjnych w procesie biosyntezy białka. Jego wiedza i autorytet w polskim świecie naukowym skutkowały akceptacją finansowania projektów badań naukowych Profesora. Mimo znanych wtedy powszechnie trudności w uzyskiwaniu pieniędzy na badania, potrafił zdobyć dla zakładu unikalne odczynniki i sprzęt naukowy.

Był doskonałym wykładowcą i autorem wydanego w 2004 roku podręcznika *Chemia Medyczna*. Wielu osobom pomógł w karierze naukowej, a dwóch

współpracowników Profesora prowadzi dziś własne laboratoria naukowe w Stanach Zjednoczonych. Po odejściu na emeryturę w roku 1992, miał nadal w zakładzie swoją pracownię, dokąd przychodził kilka razy w tygodniu, by kontynuować pisanie pomocy dydaktycznych. Widywaliśmy się z Profesorem prawie codziennie i, jako następcą Profesora w pełnieniu funkcji kierownika zakładu, często korzystałem z jego doświadczenia.

Profesor Władysław Gałasiński był wzorem pracownika naukowego i dydaktycznego, i taki pozostanie w naszej pamięci.

Andrzej Gindziński
Prof. dr hab., emerytowany kierownik
Zakładu Chemii Medycznej UMB.

Władysław Gałasiński ur. 27. 06. 1922 r. we wsi Siennica-Gizy w woj. białostockim, zm. 15.02.2012 r. w Białymstoku. Członek Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej, więzień obozu koncentracyjnego na Majdanku, pomysłodawca i współorganizator ucieczki z obozu, uczestnik Powstania Warszawskiego – żołnierz zgrupowania Kampinos.

Studia farmaceutyczne na Uniwersytecie Warszawskim ukończył w roku 1953. W latach 1963 – 1964 przebywał na stażu naukowym w Instytucie Badań Jądrowych „Boris Kidrič” w Vinci koło Belgradu. Po powrocie do kraju w roku 1964, obronił na Akademii Medycznej w Warszawie pracę doktorską. W okresie od 1967 do 1968 r. pracował w Zakładzie Biochemii Uniwersytetu w Pittsburghu (USA). W roku 1971, za całokształt dorobku naukowego i na podstawie napisanej rozprawy, Rada Wydziału Farmaceutycznego AM w Gdańsku nadała mu stopień naukowy doktora habilitowanego. W roku 1973 został kierownikiem Zakładu Chemii Ogólnej AMB i funkcję tę pełnił do czasu przejścia na emeryturę w roku 1992.

W latach 1975 – 1977 był dziekanem Wydziału Lekarskiego, a od roku 1977 do 1984 dziekanem i organizatorem Wydziału Farmaceutycznego z Oddziałem Analityki Medycznej AMB. W roku 1982 uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego, zaś w roku 1989 profesora zwyczajnego.

Odnaczenia: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski - Polonia Restituta, Krzyż Partyzancki, Krzyż Powstania Warszawskiego, Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Oświęcimski, Medal Komisji Edukacji Narodowej, tytuł Doctor Honoris Causa AMB.

Takich ludzi się nie zapomina

Prof. dr hab. Władysław Gałasiński

Kiedy z ciężkim sercem podjęłam decyzję o opuszczeniu mojego kochanego miasta studiów – Lublina, i Zakładu Biologii Molekularnej UMCS-u, mój pierwszy szef i ówczesny rektor uczelni, nieżyjący już prof. Eugeniusz Gąsior, zdecydował, że zgodzi się na moje odejście pod jednym warunkiem: odda mnie we właściwe ręce – profesora Władysława Gałasińskiego. Jechałam na pierwsze spotkanie z prezydentem – kazeiną, i zapewnieniami moich współpracowników, że prof. Gałasiński przyjmie mnie jak rodzony ojciec. Rzeczywiście Profesor przyjął mnie bardzo ciepło, ale pomimo to do Lublina wracałam z mieszanymi uczuciami. Mój przyszły szef bardzo szybko i dużo mówił, a ja nie mogłam nadażyć ani za jego myślami, ani za jego szybkim krokiem.

Od października 1987 roku rozpoczęłam pracę w Zakładzie Chemii Ogólnej Akademii Medycznej w Białymstoku. Na początku nie mogłam przyzwyczać się do stylu bycia i wymogów mojego nowego kierownika, a szczególnie do tego, że o różnych porach dnia zjawiał się przy biurku lub przy stole laboratoryjnym i pytał: co robimy i co nam wychodzi? Pamiętam, jak przeżywałam każdą preparatykę izolacji rybosomów ze szczurów. Musieliśmy być do niej perfekcyjnie przygotowani, nawet przestawiony w inne miejsce rotor naruszał ład, bardzo ceniony przez Profesora. Już przed szóstą rano, gdy szczury jeszcze spały, ustawialiśmy się w chłodni, przyjmując pozycję, jaka obowiązuje po komendzie „bacność”. Profesor, po sprawnym wyjęciu szczura z klatki, jednym zdecydowanym ścisaniem ostrych nożyc pozbawiał go głowy, po czym szczur trafiał do nas. Z obawy, że nie zdążę przed następnym „pakunkiem”, drżały mi ręce, co niezmiernie utrudniało mi wycięcie wątroby. Wątroba, po skrupulatnym zważeniu i rozdrobnieniu, w tempie błyskawicznym trafiała do homogenizatora współpracownika, który również w szybkim czasie musiał wykonać swoje zadanie. Do dziś z uśmiechem wspominam jedną z preparatyk, gdy homogeni-



Profesor W. Gałasiński na spotkaniu z czytelnikami w czasie promocji książki *Mój tato „Duszek”*. Biblioteka Główna UMB, 2010 r.

zacją zajmował się kolega, przyjęty do pracy niebawem po moim przybyciu. Otóż, przez nieodpowiednie ruchy pistlem, homogenat z co najmniej kilku wątrób wyładował na suficie i natychmiast został zidentyfikowany przez Profesora. Do dziś nie wiem: czy ten fakt, czy inne wpadki zdecydowały o krótkiej pracy mojego kolegi?

Kiedyś Profesor wyraził zgodę na samodzielne „szczurobicie”, co pozwoliło nam docenić jego niesamowity spryt. Włożenie ręki do klatki z nieźle zorientowanymi w sytuacji i nieusypianymi szczurami było bowiem nie lada wyzwaniem. Zdarzało się, że zamiast preparatyki organizowaliśmy pogoń za uciekinierem. A najważniejszy był końcowy efekt preparatyki, gdy Profesor, oglądając „gołym okiem” rybosomy w probówce, oceniał ich aktywność i wyrażał zadowolenie lub dezaprobatę.

Profesor bardzo dbał o każdy sprzęt, a szczególnie o ultrawirówki i kolektory. Pamiętam, jak wieczorami w chłodni układałam kolejne kolumny i pilnowałam, aby nie spadła choć jedna kropelka poza probówkę i nie zanieczyściła kolektora. Z tego powodu często opuszczałam zakład

późnymi wieczorami. Szef nie pozwalał nam nigdy włączyć ultrawirówki. Bardzo się przejmował każdą awarią urządzeń i osobiście sprowadzał specjalistów, czuwając nad każdą naprawą. Wiele cenniejszych odczynników było zabezpieczonych przed ogólnym dostępem. Gdy prosiliśmy o wąż dializacyjny (i to dość często), najpierw opuszczaliśmy gabinet, a Profesor udawał się z kluczem do chłodni, gdzie miał swoje sejfy i, po przyniesieniu węża do pracowni, odcinaliśmy potrzebną nam ilość.

Przy ważnych okazjach częstował nas zmrożonym napojem typu Hajduczek, w recepturę którego była wtajemniczona tylko jedna najstarsza pracownica zakładu. Na swoich imieninach częstował nas lodami waniliowo-owocowymi i, niezależnie od liczby gości, każdemu donosił solidną porcję.

Profesor Gałasiński, odkąd go poznałam, właściwie do ostatnich lat był bezgranicznie oddany pracy i tego samego wymagał od nas. Praca była dla niego najważniejsza. Pamiętam, gdy w przededniu zjazdu biochemicznego w Toruniu, na

którym miałam prezentować ustnie swoje pierwsze wyniki badań, dostałam ataku wyrostka robaczkowego. Profesor oświadczył, że następny atak może być nawet za 25 lat i powinnam jechać. Na szczęście, w drodze po bilety na pociąg, spotkałam koleżankę lekarkę, która zaprowadziła mnie na ostry dyżur i już po godzinie byłam operowana. Pamiętam też, że przed wyjazdem na stypendium miałam kilka miesięcy zaległego urlopu. Trzeba również przyznać, że pomimo surowych wymagań, na wiele naszych błędów Profesor przymykał oko. Myślę, że tak po prostu, po ludzku, rozumiał młodzież.

Moment przejścia na emeryturę, tak trudny do zaakceptowania przez Profesora, i długie lata po nim, to inny etap wspomnień. Dopiero wtedy dowiedziałam się, jak bardzo kochał fiołki, które mieniły się wszystkimi kolorami w jego pokoju i o które sam dbał. Po przyjeździe do pracy, Profesor grzałką gotował wodę, zaparzał mocną herbatę, robił potem dolewki, i wyciszony pisał, pisał i pisał... najczęściej ołówkiem na jednostronnie zużytych kartkach papieru. Nie wymagał wiele, ostatnio wystarczył mu stół z gumowym obiciem w pracowni izotopowej, ale ta praca była motorem jego życia. Pytany o odpoczynek w czasie wakacji, zawsze żartował, że szef nie chce udzielić mu urlopu, że jeszcze nie zasłużył. Robiąc „obchód”, pozdrowiał nas często w języku serbskim, żartował, pytał o wnuczęta, czyli nasze dzieci, odkrywał siebie, mówiąc wierszyki, śpiewając piosenki, wykazując się przy tym fenomenalną pamięcią. Nie zapisywaliśmy ich, nie próbowaliśmy ich zapamiętać, bo przecież zawsze, nawet w najmniej oczekiwanych momentach, bez względu na pogodę, Profesor zjawiał się w zakładzie, ostatnio nawet po to tylko, żeby się przejść. Pomimo ostatnich kłopotów ze zdrowiem, nie poddawał się, nie narzekał, a pytany o wiek, odpowiadał, ile mu brakuje do setki. Nie wątpiliśmy, że dożyje do niej. Stało się inaczej.

Dzisiaj, czytając jego wspomnienia, w których opisuje wydarzenia ze swojego jakże niełatwego życia, w którym przyszło mu niejednokrotnie stoczyć dramatyczną walkę o życie, chyba rozumiem, dlaczego tak poważnie i głęboko traktował życie. Wydaje mi się, że żył tak, aby nie zmarnować ani jednego dnia. Oby udało się nam chociaż po części tak żyć, Drogi Panie Profesorze.

Anna Galicka

*Dr hab. n. med.,
wieloletni pracownik Zakładu Chemii Medycznej UMB.*



Stowarzyszenie Przyjaciół Serca zakończyło bieg

W grudniu 2011 r. zakończyło pracę działające przy Klinice Kardiologii Stowarzyszenie Przyjaciół Serca. Dobiegło do mety po trzynastu latach funkcjonowania. Może nie warto by o tym wspominać, gdyby nie wkład, jaki wniosło

poparciu dla starań, mających na celu unowocześnienie kardiologii. Niestety, nie dysponował środkami na ten cel.

Pomysł powołania stowarzyszenia powstał w gronie ówczesnych moich pracowników – dr. B. Poniatowskiego i ówczesnej dr H. Bachórzewskiej-Gajew-



Wigilijne spotkanie kardiologiczne. Laureaci „srebrnych serduszek” 2006 r. Druga od prawej siedzi – prof. Maria Winnicka, czwarta – prof. Hanna Szwed (Warszawa); w środku w pierwszym rzędzie stoi prof. Michał Myśliwiec.

w rozwój uniwersyteckiej kardiologii. Wielu z Państwa o istnieniu stowarzyszenia słyszało niewiele, pracowało ono bowiem efektywnie, lecz bez rozgłosu. Licząca 70 członków organizacja to tzw. cichy bohater.

Powstanie stowarzyszenia zrodziło się, z jednej strony, z konieczności dokonania szybkich zmian w działalności Kliniki Kardiologii, a z drugiej powodem był brak środków finansowych. Podstawowy cel stowarzyszenia był więc prozaiczny i dotyczył gromadzenia funduszy na rozwój białostockiej kardiologii. Podczas jednej z rozmów ówczesny rektor prof. J. Górski zapewnił mnie, kierownika kliniki, o pełnym

skiej. Dzięki ich zaangażowaniu udało się dopełnić formalności: opracować statut, zarejestrować stowarzyszenie w sądzie, uzyskać status prawny, NIP, Regon itp.

Głównym źródłem dochodów stowarzyszenia stały się wieloosrodkowe badania kliniczne, prowadzone na zlecenie firm farmaceutycznych. Członkowie stowarzyszenia przeprowadzili ich ponad pięćdziesiąt. Jednak nasza działalność nie ograniczała się tylko do realizacji programów. Była wielokierunkowa i znacznie szersza, że wymienię organizację charytatywnych balów w pałacu Branickich, plenerowych imprez promujących profilaktykę chorób układu krążenia, organi-

cd. ze str. 9 →

zowanych wspólnie z Radiem Białystok pod nazwą *Dni Serca*, znanych i uznanych, a odbywających się do dzisiaj *Wiosennych Warsztatów Kardiologicznych*, przekształconych w *Międzynarodowe Warsztaty Kardiologiczne „Wschód-Zachód”*, czy integrujących środowisko *Wigilijnych Spotkań Kardiologicznych*.

Stowarzyszenie pomagało przy organizacji wielu konferencji naukowych, zebrań i posiedzeń, finansowało szkolenia czy pokrywało koszty publikacji swoich członków. Dopiero teraz gdy nie działa, widać jak trudno jest pokonać bariery formalno-prawne. Gdyby nie środki wypracowane przez stowarzyszenie, nie byłoby części wyposażenia Sali Intensywnej Opieki w Klinice Kardiologii, sprzętu w Pracowni Elektrofizjologii, specjalistycznej aparatury diagnostycznej czy laboratoryjnej, wyposażenia Pracowni Kardiologii Doświadczalnej, narzędzi dla Kliniki Kardiochirurgii i wielu, wielu innych niezbędnych rzeczy. Lista zakupów jest długa, ponad 35 pozycji, a ich wartość niebagatelna.

Sukcesy stowarzyszenia zawdzięcza przede wszystkim ludziom i niech będzie to choć symboliczne podziękowanie za ich charytatywną pracę. W zarządzie pracowali: W. J. Musiał (prezes w latach 1998 – 2006 oraz 2010 – 2011), B. Sobkiewicz (prezes w latach 2006 – 2010), W. Kochman, S. Dobrzycki, H. Bachórzewska-Gajewska, B. Poniowski i R. Dobrowolski.

Tradycją stowarzyszenia stało się nagradzanie, każdego roku, szczególnie zasłużonych dla kardiologii osób i firm farmaceutycznych „srebrnymi serduszkami”. Serduszka otrzymało łącznie 18 osób: 7 profesorów naszej uczelni, w tym ówczesny rektor J. Górski, dyrektor USK dr B. Poniowski, a także znakomici krajowi kardiolodzy: L. Ceremużyński, H. Szwed i A. Torbicki (Warszawa), P. Pieniążek (Kraków), dr r. Wilczek (Gdańsk). Laureatami serduszek byli przedstawiciele mediów J. Muszyński i K. Puciłowski.

Działalność stowarzyszenia straciła rację bytu z chwilą, kiedy dokonywane przez nie zakupy obciążone zostały dodatkowym podatkiem, z których zwolniony jest szpital. Nadszedł więc czas zakończenia działalności stowarzyszenia. Niech pozostanie w pamięci kawał dobrej roboty, jaką wykonało.

Włodzimierz Musiał

Prof. dr hab., kierownik Kliniki Kardiologii UMB.

NAUKA A

Katedra Biostruktury i Zakład Patomorfologii Lekarskiej Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku oraz Międzywydziałowa Katedra Teologii Katolickiej Uniwersytetu w Białymstoku – organizatorzy marcowego sympozjum naukowego *Nauka a wiara* – zadbali o to, by na konferencji nie zabrakło wybitnych przedstawicieli świata nauki i duchowieństwa.

Teoria klonowania terapeutycznego potrzebuje dyskusji opartej na argumentach naukowych, a nie religijnych

Prof. J. Dulak

– *Nauka i wiara to dwie siostry* – mówił abp. prof. dr hab. Edward Ozorowski, witając zebranych.

Owe dwie siostry na czas konferencji tolerowały siebie na tyle, na ile umiały. Ostatecznie, w dyskusji będącej podsumowaniem spotkania, nie były już wobec siebie tak łagodne. W referatach prelegentów przeplatały się różnorakie teorie. Książd prof. dr hab. Andrzej Maryniarczyk, kierownik Katedry Metafizyki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, postulował o to, by bardziej słuchać rzeczy niż teorii, bowiem teorie się zmieniają, a rzeczy pozostają takimi, jakimi są. Profesor dr hab. Jerzy Janik z Instytutu Fizyki Jądrowej Polskiej Akademii Nauk w Krakowie mówił o pokorze fizyka, demonstrowując obraz „Echo i Narcyz” J. W. Waterhouse’a. Porównał zarozumiałego

fizyka do Narcyza, który przygląda się swemu odbiciu w tafli wody, nie zauważając siedzącej obok pięknej dziewczyny.

Najwięcej emocji wśród słuchaczy wzbudził referat dotyczący medycyny regeneracyjnej w świetle relacji między nauką a religiami. Profesor dr hab. Józef Dulak z Zakładu Biotechnologii Medycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie mówił o chorobie Lescha-Nyhana, powodowanej mutacją genu HPRT. Jak wiadomo, dla cierpiących na ten zespół chorobowy nie ma lekarstwa. Profesor Dulak dostrzegł jednakowoż nadzieję dla chorych w terapii genowej, której zadaniem jest wprowadzenie do komórek pozbawionych genu HPRT prawidłowej komórki takiego genu.

– *Teoria klonowania terapeutycznego potrzebuje dyskusji opartej na argumentach naukowych, a nie religijnych* – mówił.

Ta opinia profesora rozpetęła burzę. Prelegent, postawiony w ogniu niewygodnych pytań, będących w zasadzie zarzutami, bronił bezstronności swego referatu wyznawanym ateizmem. Na temat obiekcji religijnych odmówił komentarza.

Drugi dzień obrad rozpoczął abp. prof. dr hab. Edward Ozorowski, kierownik Międzywydziałowej Katedry Teologii Katolickiej Uniwersytetu w Białymstoku, Metropolita Białostocki i jeden z pomysłodawców sesji, który wygłosił referat na temat anatomii wiary.

– *Nie można pomieszać kompetencji nauki i wiary. Każda z nich bowiem jest autonomiczna w przedmiocie* – tłumaczył zebranych.

Nad kwestią wiary i obecności Boga zastanawiał się także prof. dr hab. Mieczysław Chorąży, reprezentujący Zakład Biologii Nowotworów przy Centrum Onkologii Instytutu im. Marii Skłodowskiej-Curie w Gliwicach. Mówił o złożoności życia w aspekcie nauki.

A WIARA

- Jesteśmy świadkami zmasowanego ataku na religię i wiarę. Nauka musi być bardzo pogłębiona, żeby zrozumieć elementy wiary w Boga. Wiara zaś powinna być pogłębiona, żeby zrozumieć istotę nauk – przekonywał profesor Chorąży.

Natomiast prof. dr hab. Stanisław Pużyński, psychiatra z Instytutu Neurologii i Psychiatrii w Warszawie, absolwent Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku, poruszył problem eutanazji. Mówił, że

Nauka musi być bardzo pogłębiona, żeby zrozumieć elementy wiary w Boga.

Wiara zaś powinna być pogłębiona, żeby zrozumieć istotę nauk

Prof. M. Chorąży

zjawisko to w niebezpieczny sposób zatacza coraz szersze kręgi. Według profesora jest ono przejawem kryzysu współczesnej medycyny, a także kryzysu rodziny, dla której opieka nad nieuleczalnie chorym jest nadmiernym obciążeniem psychicznym i materialnym.

Cenny głos w dyskusji należał do dr. Tadeusza Borowskiego-Beszty, który na co dzień opiekuje się chorymi z białostockiego hospicjum.

- Jeżeli człowiekowi ciężko choremu daje się do zrozumienia, że jest balastem, w swojej rozpacz może poprosić o skrócenie mu życia. Jednak nasze doświadczenie wskazuje na to, że mało jest takich przypadków. Osoba będąca w stanie terminalnym potrzebuje obecności innego



foto: T. Dawidziuk

Od lewej: Rektor UMB prof. Jacek Nikliński, prof. Jan Górski, abp. prof. Edward Ozorowski, prof. Lech Chyczewski.

człowieka. Ona woła o życie. Ideolodzy eutanazyjni nazywają zabójstwo człowieka godną śmiercią, podczas gdy Adolf Hitler zalecał uśmiercanie przewlekle chorych, nazywając to bardzo podobnie – łaskawą śmiercią – zauważył dyrektor hospicjum.

Ostatni dzień konferencji był okazją do zapoznania się z najnowszymi odkryciami w naukach biomedycznych. Zanim to jednak nastąpiło, bp. dr hab. Józef Wróbel, profesor z Instytutu Teologii Moralnej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, poruszył zagadnienie bioetyki, określając ją podstawą moralnego działania, która przyczynia się do duchowego wzrostu człowieka.

O nadziejach i zagrożeniach, jakie niesie za sobą kontrowersyjna kwestia wykorzystania komórek macierzystych w medycynie regeneracyjnej, mówił prof. dr hab. Mariusz Z. Ratajczak z Uniwersytetu w Louisville – hematolog i badacz ko-

mórek macierzystych. Nawiązując do obchodzonego właśnie Dnia Kobiet, użył on stwierdzenia, że kobiety, z biologicznego punktu widzenia, są bardziej wartościowe niż mężczyźni, co wywołało triumfalne uśmiechy na twarzach damskiej części publiczności.

- Nasze badania nad komórkami macierzystymi to nie tylko próby poprawienia funkcji uszkodzonych narządów, ale także (być może) sposób na wydłużenie życia – tłumaczył profesor Ratajczak.

Dodał, że udział w sympozjum znacznie wzbogacił jego wiedzę na temat związków nauki z wiarą. Miejmy nadzieję, że doświadczyli tego również pozostali goście, zgromadzeni od 6 do 8 marca 2012 r. w Auli Magna pałacu Branickich.

Katarzyna Karpacz

Doktorantka na Wydziale Filologicznym UwB,
studentka psychologii na NWSP

**Z prof. dr. hab.
Mieczysławem Chorążym**
*o pokorze i pasji w odkrywaniu
otaczającego nas świata, podczas
spaceru po centrum Białegostoku,
rozmawia Tomasz Dawidziuk.*



foto: T. Dawidziuk

Zauroczenie wszechświatem

Czy to prawda, że im większa wiedza, tym więcej pojawia się pytań?

Z pewnością tak jest. Niewiadome wynikają z przedziwnej i majestatycznej złożoności życia. Posłużę się przykładem białek, jako podstawowym budulcu żywych organizmów. Kiedyś sądzono, że jeden gen koduje jedno białko i w związku z tym szacowano liczbę białek na około dwadzieścia tysięcy. Dzisiaj eksperci ze szwajcarskiego Banku Białek twierdzą, że białek jest około miliona, ale oprócz nich istnieje cała sieć interakcji i powiązań na poziomie mikro- i makrocząstek. Zmusza to więc badających do zadawania kolejnych pytań. Okazuje się również, że relacje w świecie cząstek białkowych nie mają charakteru liniowego i nie można przełożyć np. liczby białek na liczbę cech żywego organizmu. Cechy te nie wynikają z istnienia pojedynczej cząsteczki białkowej, lecz z interakcji między różnymi białkami, co daje niemal nieskończoną różnorodność.

Pytaniom nie będzie końca?

Nie da się wiedzieć wszystkiego. Wydaje się jasne, że mając do dyspozycji nawet najbardziej skomplikowane maszyny liczące, które w przyszłości zastąpią dziesiętsze komputery, człowiek nie będzie w stanie zrozumieć szeregu praw rządzących wszechświatem. I całe szczęście! Świadomość, że wiemy wszystko i nic już nie pozostało do odkrycia, byłaby po prostu smutna.

A czy gdzieś między molekułami można doszukiwać się uniwersalnego algorytmu, który niczym palec Boży, wskazuje, jak tworzy się życie?

Jest to trudne pytanie. Biolodzy zajmują stanowisko, że fenomen życia powstawał w wyniku długotrwałej ewolucji. Ten proces zakłada tworzenie coraz bardziej skomplikowanych układów cząstek, ponieważ życia nie da się wygenerować

cząstek subatomowych. Ale to tylko część zależności, które przy obecnym stanie wiedzy możemy sobie wyobrazić.

Co z czwartą zasadą termodynamiki? Przecież wszechświat dąży do nieuporządkowania, a jednak jesteśmy tu dzisiaj i, wbrew wszystkiemu, zastanawiamy się, kto za tym stoi?

Wiedza się zmienia, co sprawia, że rozumowanie pojmowanie świata oddala Boga od człowieka. Kiedyś ludziom wydawało się, że niebo jest blisko. Dzisiaj wierzymy odległości w milionach lat świetlnych. Wiedza daje świadomość małości człowieka wobec wszechświata. Sprawia, że odpowiedź na fundamentalne pytania rozprasza się gdzieś daleko, poza naszym zasięgiem.

Jak powinniśmy sobie radzić w tej sytuacji?

Może to nie zabrzmia naukowo, ale wydaje mi się, że najważniejszy jest podziw dla wszechświata, niemal zauroczenie nim. W odniesieniu do naszej planety, fascynacja dotyczy świata istot żywych, ich fantastycznej różnorodności. Wszystko, co widzimy, podlega pewnym prawom, jest między sobą powiązane. Jeżeli doszukiwać się iskry Bożej, to z pewnością w zasadach, które w sposób inteligentny zarządzają światem i go programują. Nawiązując do ewolucji, nasza obecna wiedza sugeruje, że nie jest ona procesem zde-

*Są przedstawiciele świata
nauki, którym towarzyszy buta.
Wydaje im się, że ich mózgi
będą w stanie przetworzyć
wszystkie niewiadome.
Ludzie myślący powinni
wykazywać pokorę*

z prostych struktur. Jeżeli doszukiwać się tutaj głosu Boga, wypadałoby cofnąć się do prapoczątków, czasów Wielkiego Wybuchu, porządkowania się prostej materii. Być może istnieje jakaś uniwersalna prawda, która w sposób uporządkowany kreuje świat istot żywych, począwszy od atomów z tablicy Mendelejewa czy nawet

terminowanym i w tym ujęciu staje się przypadkowa. Z drugiej zaś strony widać coś zupełnie przeciwnego, co skłania do zastanowienia, czy aby na pewno mamy do czynienia z dziełem przypadku. Powstaje paradoks. Im więcej wiemy, tym większa nasza niepewność. Nie można być pewnym, że już wszystko wiadomo albo że z biegiem czasu wszystko zostanie wyjaśnione. Ludzie myślący powinni wykazywać pokorę.

Niektórzy nie chcą być pokorni.

Są przedstawiciele świata nauki, którym towarzyszy buta. Wydaje im się, że nawet jeśli w tej chwili nie są w stanie udzielić odpowiedzi na część zadawanych im pytań, na pewno w niedalekiej przyszłości ich mózgi będą w stanie przetworzyć wszystkie niewiadome. Nie umniejszając roli ludzkiego mózgu, który w swej złożoności jest czymś niesamowitym, wydaje mi się to mało prawdopodobne. Już sama liczba połączeń, możliwych do wytworzenia między neuronami w mózgu, wyra-

*Świadomość, że wiemy wszystko
i nic już nie pozostało
do odkrycia,
byłaby po prostu smutna*

żana jest ogromną, wręcz przerażającą liczbą. Stąd powinna wynikać pokora. Z podziwu dla otaczającej nas pięknej złożoności świata, tej sieci zależności i wpływów, które powoli poznajemy.

A gdyby pan spotkał dzisiaj Boga, jakie zadałby mu pan pytanie?

Pewnie zapytałbym o coś, co może wydawać się oczywiste, ale tylko Bóg mógłby udzielić mądrej odpowiedzi. Na przykład o to, jak żyć, aby z jednej strony nie zmarnować czasu, z drugiej natomiast nie popadać w pychę. Może jeszcze o to, jak sprawić, żeby coś z naszego ducha pozostało wśród bliźnich i mogło być dla nich użyteczne, kiedy nas już nie będzie.

Eutanazja – złe doświadczenia



for. T. Dawidziuk

Prof. dr hab. Stanisław Puzyński – specjalista psychiatra.

Czy w Holandii śmierć na życzenie jest modna?

Słowo „modna” jest moim zdaniem nieodpowiednie. W Holandii to nie śmierć, ale wymuszone zakończenie życia, ściśle mówiąc, jego skrócenie, za pomocą substancji chemicznej podanej osobom nieuleczalnie chorym bądź w podeszłym wieku, okazało się „modne”, gdyż opłacalne. Holendrzy uznali bowiem, że dłuższe życie jednostki, zwłaszcza tej nieuleczalnie chorej, niesprawnej, jest problemem nie tylko dla rodziny i systemu wsparcia społecznego, ale również kosztowne z punktu widzenia ekonomicznego. W związku z tym zaakceptowano eutanazję, jako jeden ze skutecznych sposobów rozwiązania problemów długowieczności, ograniczenia wydatków zdrowotnych, zmniejszenia kosztów społecznych. Możliwe, że część zwolenników prawa do eutanazji kierowała się motywami humanitarnymi i chęcią pomocy w cierpieniu, sądząc jednak, że ta pierwsza grupa przesłanek miała znaczenie decydujące.

Grecki pierwowzór wyrazu eutanazja, eu thanatos, oznacza tyle, co dobra śmierć. Czy istnieje śmierć lepsza i gorsza?

Nie ma dobrej śmierci, bo każda śmierć jest złym rozwiązaniem i to niezależnie od tego, czy nastąpiła nagle, bezboleśnie, czy była powolna i naznaczona cierpieniem. Eutanazja nie jest „dobłą śmiercią”, lecz zabójstwem. W Polsce i w wielu innych krajach jest prawnie zakazana.

Czy przedłużająca się depresja, spowodowana bólem i cierpieniem, może być powodem do podjęcia decyzji o śmierci na życzenie?

Wspólną cechą wielu rodzajów depresji jest zmęczenie życiem i niechęć do jego kontynuacji. Znaczny odsetek chorych ma skłonności samobójcze i podejmuje próby targnięcia się na swoje życie. Prawidłowo prowadzone leczenie farmakologiczne, połączone z psychoterapią, sprawia, że u większości pacjentów depresja ustępuje, powraca chęć do życia. Chorego trzeba leczyć, uśmierzać dośkwierający mu ból fizyczny i psychiczny.

cd. na str. 14 →

cd. ze str. 13 →

ny, a nie spełniać jego życzenie dotyczące zakończenia życia. Sytuacja z punktu widzenia etyki lekarskiej i prawa jest jednoznaczna.

Czy diagnoza lekarska, będąca podstawą do podjęcia decyzji o eutanazji, może okazać się błędna?

Termin „diagnoza medyczna” obejmuje ustalenie przyczyny zaburzeń występujących u chorego, ich stopnia nasilenia, zaawansowania oraz przewidywanych następstw. Prawidłowo przeprowadzony proces diagnostyczny umożliwia lekarzowi zastosowanie właściwego leczenia. W tym kontekście i na tak postawione pytanie moja odpowiedź

Chorego trzeba leczyć, a nie spełniać jego życzenie dotyczące zakończenia życia

brzmi: nie ma wskazań lekarskich do eutanazji, nie ma diagnozy uprawniającej do eutanazji.

W przypadku zalegalizowania eutanazji zmienia się również rola lekarza.

Dopuszczalność eutanazji, w tym samobójstwa w asyście lekarza, narusza podstawowe standardy postępowania lekarskiego: zasadę ochrony życia, zasadę zaufania w relacji pacjent-lekarz, zaciera granicę pomiędzy leczeniem i zabijaniem. W Holandii, o czym informują media, zdarza się, że chorzy w obawie przed eutanazją odmawiają leczenia szpitalnego, a nawet opuszczają hospicja.

Jakie następstwa może spowodować legalizacja eutanazji w Polsce?

Jak najgorsze. Zalegalizowanie nawet najbardziej ograniczonych form eutanazji niesie ryzyko zwiększenia społecznej akceptacji tego zjawiska i masowego zabijania osób nieuleczalnie chorych, niesprawnych, w podeszłym wieku, na co dobitnie wskazują doświadczenia holenderskie. Wierzę, że rozsądek weźmie górę i do legalizacji eutanazji w Polsce nie dojdzie.

Rozm. **Katarzyna Karpacz**

Podlaskie Warsztaty Psychiatryczne

Tegoroczne Podlaskie Warsztaty Psychiatryczne odbyły się w Białowieży i trwały od 19 do 21 stycznia. Podobnie jak to miało miejsce w poprzednich latach, spotkanie przygotowane zostało przez pracowników Kliniki Psychiatrii UMB, pod patronatem Oddziału Podlaskiego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Wzięło w nim udział ponad 300 lekarzy psychiatrów z Polski oraz liczne grono wykładowców.

Pierwszy wykład przedstawiła prof. Barbara Darewicz – kierownik Kliniki Urologii UMB, która mówiła o przyczynach i leczeniu zaburzeń funkcji seksualnych. Zwróciła uwagę na fakt, że dolegliwości związane z funkcjami seksualnymi są składową obrazu bardzo wielu chorób somatycznych oraz zaburzeń psychicznych, ale ich obecność jest często ignorowana w procesie diagnozy. Znaczna część wystąpień, które miały miejsce pierwszego dnia, poświęcona była neurobiologicznym podstawom schizofrenii, m.in. niedoczynności receptorów NMDA (dr hab. Marek Krzystanek), użyteczności koncepcji stanów prepsychotycznych (prof. Andrzej Czernikiewicz) oraz współpracy z pacjentami (dr hab. Agata Szulc).

W swoim wykładzie prof. Łukasz Świącicki omówił możliwości skutecznej farmakoterapii zaburzeń afektywnych dwubiegunowych, a prof. Alina Borkow-



foto: D. Bibulowicz

Dr hab. Agata Szulc, przewodnicząca Komitetu Organizacyjnego i kierownik Kliniki Psychiatrii, wita uczestników warsztatów.

ska wskazała możliwe powikłania o charakterze poznawczym takiego leczenia. Następnie profesor Aleksander Araszkie-wicz zasugerował nowe spojrzenie na problem zaburzeń obsesyjno-kompulsyjnych, a prof. Bartosz Łoza ukazał nam różne oblicza depresji na przestrzeni wieków.

Różnorodność tematów sesji warsztatowych w drugim dniu konferencji sprawiła, że nie tylko psychiatrzy, ale także



foto: D. Bibulowicz

Już zwyczajowo pełna sala wykładowa; na pierwszym planie prof. Andrzej Czernikiewicz, pomysłodawca i organizator pierwszych Podlaskich Warsztatów Psychiatrycznych.

lekarze innych specjalności oraz osoby niezwiązane z zawodem medycznym znalazli dla siebie coś interesującego.

Oto kilka przykładów:

- Psychiatryczne aspekty w historii (dr Grzegorz Opielak),
- Konsultacja genetyczna w psychiatrii (prof. Joanna Hauser),
- *Brain in the fog* – neuropsychologiczne skutki chemioterapii (mgr Szymon Gołota),
- Psychiatryczne aspekty praktyki laryngologicznej – jak wiele mamy wspólnych tematów? (dr Małgorzata Różańska-Kudelska),
- Przewód pokarmowy, zaburzenia immunologiczne, a depresja (dr Leszek Rudzki),
- Terapia par dewiacyjnych (dr Sławomir Jakima i mgr Ewa Małachowska),
- Szaleństwo bohatera romantycznego – poza czy choroba? (Katarzyna Werner),
- Uzależnienia w tekstach rockowych (dr Adam Woźniak, dr Rodryg Reszczyński).

Na szczególną uwagę w sesji warsztatowej zasługuje część poprowadzona przez dr Aleksandrę Małus, dr Beatę Galińską-Skok oraz dr Beatę Konarzewską z Kliniki Psychiatrii. Panie brawurowo wprowadziły publiczność w temat „Miłości szczęśliwej, czyli czym się różnią małżeństwa udane od nieudanych?”. Warsztat był podsumowaniem projektów własnych, dotyczących terapii małżeńskiej i wzbudził duże zainteresowanie.

W drugiej sesji wykładowej prof. Janusz Heitzman ciekawie opowiadał o zaburzeniu nazywanym „Complex PTSD” (Złożony Zespół Stresu Pourazowego), występującym na skutek doświadczania chronicznej traumy. Profesor Lucyna Ostrowska poruszyła istotną populacyjnie kwestię wzajemnej zależności i współistnienia otyłości oraz zaburzeń psychicznych. Następnie prof. Anna Grzywa przedstawiła historię zmian w podejściu do chorób psychicznych w dziejach ludzkości. Sesję wykładową, a tym samym spotkanie warsztatowe, zakończyła dr hab. Agata Szulc, zwracając uwagę na perspektywy i oczekiwania w leczeniu zaburzeń afektywnych dwubiegunowych.

Dziesiąte warsztaty za nami! Liczymy na wielu uczestników podczas kolejnych spotkań.

Napoleon Waszkiewicz

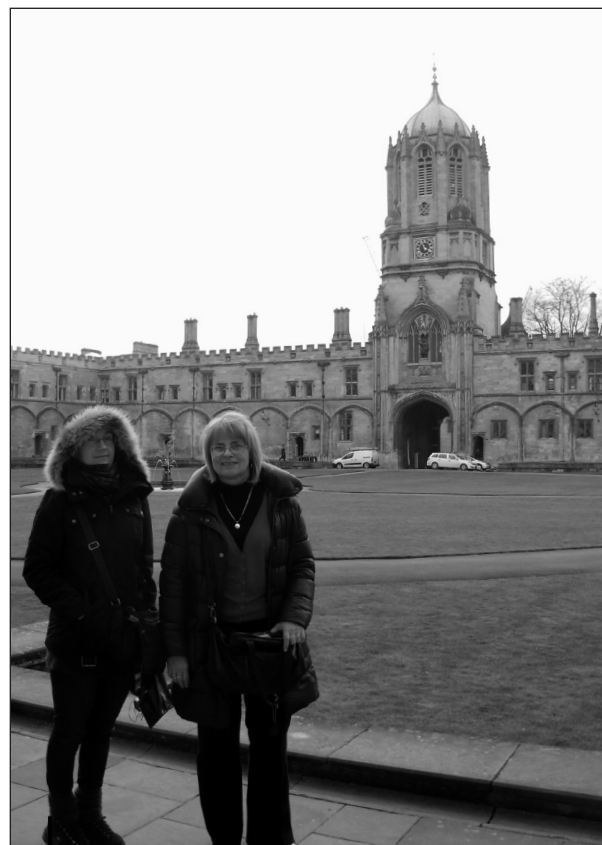
Dr n. med., adiunkt Kliniki Psychiatrii UMB.

Wizyta w Oxfordzie

Dla każdego anglisty Oxford ma wymiar niemal symboliczny, uosabiając to, co w języku angielskim i kulturze angielskiej najpiękniejsze – tradycję, dumę, precyzję, dyscyplinę, uniwersalizm. Trzy dni, które spędziłyśmy w tym mieście, to oczywiście zbyt krótko, by zobaczyć wszystko, ale wystarczająco długo, żeby zapragnąć wrócić tam jak najszybciej. Pojechaliśmy do Oxfordu (anglistki: Agnieszka Dudzik, Eunika Supińska i Ewa Szczepaniak), żeby wziąć udział w seminarium metodycznym *Putting Communication First in Medical English*, odwiedzić *Oxford University Foreign Language Centre* oraz by wszystkimi zmysłami poczuć, posmakować, poznać to historyczne uniwersyteckie miasto.

Niemal całe miasto jest własnością uniwersytetu – federacji 38 niezależnych od siebie kolegów, których siedziby to architektoniczne perełki, często pokryte bluszczem, ze specyficznym urokiem i atmosferą. Dokładna data założenia uniwersytetu nie jest znana, ale wiadomo, że należy on do najstarszych średnio-wiecznych uniwersytetów. Najstarszymi istniejącymi kolegami są: St. Edmund Hall (1226), University College (1249), Balliol College (1263) i Merton College (1264). Wśród absolwentów uczelni jest 46 laureatów Nagrody Nobla, 25 premierów Wielkiej Brytanii, wielu przywódców państw (Bill Clinton, Indira Gandhi, Victor Orban), 12 świętych (Thomas Morus), liczni poeci i pisarze (Oskar Wilde, C.S. Lewis, J.R.R. Tolkien). Większość kierunków to trzyletnie studia licencjackie, czteroletnie studia filologiczne. Studia medyczne trwają tu sześć lat i kończą się uzyskaniem dyplomu Bachelor of Medicine i Bachelor of Surgery. Studenci

w Oxfordzie, kończąc trzyletnie studia, otrzymują tytuł licencjata Bachelor of Arts (BA). Każdy posiadacz dyplomu Bachelor of Arts może wystąpić o Master of Arts w siedem lat po immatrykulacji.



Na dziedzińcu Christ Church College. Od lewej: Agnieszka Dudzik, Eunika Supińska.

Za wydanie dyplomu uczelnia pobiera niewielką, w wysokości 10 funtów, opłatę. Master of Arts jest elementem dziedzictwa uczelni i nawiązuje do czasów, gdy studia trwały właśnie siedem lat. Oczy-

cd. na str. 16 →

cd. ze str. 15 →

wiście, kształcenie można kontynuować bez kupowania dyplomu, uzyskując tytuł Master of Science (Psychology, Mathematics itd.) lub tytuł naukowy PhD.

Nasz wyjazd odbył się w ostatnim tygodniu lutego 2012 roku. Seminarium poświęcone nauczaniu języka angielskiego i jego znaczeniu dla komunikacji interpersonalnej w zawodach medycznych odbyło się w *The Oxford Language Centre*. Prowadziły je autorki najnowszych podręczników do nauki języka angielskiego medycznego: Virginia Al- lum – autorka podręcznika *Cambridge*

*Nasz propozycja
na rok akademicki 2012/2013:
zajęcia fakultatywne dla studentów
kierunku lekarskiego,
obejmujące komunikację
lekarza z pacjentem
i personelem medycznym*

English for Nursing, Ros Wright i Marie McCullagh – autorki podręcznika *Good Practice-Communication Skills for Medical Practitioners*. W spotkaniu brali udział nauczyciele języka angielskiego medycznego z Wielkiej Brytanii, Hiszpanii oraz Polski (trzy osoby ze Studium Języków Obcych UMB).

W dobie migracji zawodowej nauczanie języka angielskiego dla celów medycznych stało się nieodłącznym elementem kształcenia lekarzy, stomatologów, pielęgniarek, farmaceutów i przedstawicieli innych zawodów paramedycznych w wielu krajach Europy i innych częściach świata. Znaczenie komunikacji językowej w tym kształceniu wydaje się być nie do przecenienia. Od poprawnej, osadzonej w danej kulturze komunikacji może zależeć samopoczucie pacjenta, a nawet jego zdrowie i życie. Z troski o dobro pacjenta, po kilku przypadkach zgonów pacjentów, spowodowanych niedostateczną znajomością języka angielskiego przez lekarzy-obcokrajowców, w Wielkiej Brytanii wprowadzono praktyczny egzamin komunikacji językowej, którego zdanie warunkuje dopuszczenie do pracy w zawodzie lekarza. W nie-

dalekiej przyszłości podobne zalecenia mają również obowiązywać pielęgniarki przyjeżdżające do pracy w tym kraju.

W Studium Języków Obcych UMB komunikacja językowa jest jednym z priorytetów, obok nauczania umiejętności typowo akademickich, takich jak

odpowiednikiem naszego Studium Języków Obcych. Dyrektor, Deborah Mason, która oprowadziła nas po ośrodku, opowiedziała o jego funkcjonowaniu, ofercie kursów językowych i zaprosiła nas na prowadzone przez siebie zajęcia *academic skills* dla tzw. *postdoctoral*



W bibliotece Oxford University Foreign Language Centre. Od lewej: Ewa Szczepaniak, Eunika Supińska, Lucile Deslignères, Agnieszka Dudzik.

korzystanie z literatury fachowej czy też prezentowanie zdobytej wiedzy. Niestety, specjalistyczne kształcenie językowe na naszej uczelni ogranicza się jedynie do dwóch pierwszych lat studiów, kiedy studenci nie mają jeszcze żadnego doświadczenia w zakresie komunikowania się z pacjentem (wywiad lekarski), lekarzem (raport na temat pacjenta) czy pielęgniarką (zalecenia) w swoim języku ojczystym. Stąd program lektoratu języka angielskiego jest niezwykle zawężony i może być jedynie punktem wyjścia do dalszej pracy nad językiem, samodzielnej lub nadzorowanej. Mając to na uwadze, od następnego roku akademickiego postaramy się zorganizować zajęcia fakultatywne dla studentów starszych lat kierunku lekarskiego, obejmujące komunikację lekarza z pacjentem i personelem medycznym.

Korzystając z pobytu w Oxfordzie, odwiedziłyśmy również Oxford University Foreign Language Centre, będące

students. Miałyśmy również możliwość zwiedzenia biblioteki, w której studenci mogą uczyć się języków obcych samodzielnie, korzystając z bogatego księgozbioru obejmującego 140 języków, a także oglądając filmy i słuchając nagrań. Kilka ciekawych rozwiązań, zaobserwowanych w ośrodku, postaramy się wprowadzić w naszym studium.

Wyjazd do Oxfordu obfitował w niezwykle doznania, zarówno te związane z „bogactwem wieków”, jak i te wynikające ze znaczenia tego miejsca w świecie nauki i edukacji. Z drugiej strony utwierdził nas w przekonaniu, że nasza praca w Studium Języków Obcych idzie w bardzo dobrym kierunku, a nasi studenci nabywają potrzebnych w ich przyszłej pracy zawodowej umiejętności językowych.

Ewa Szczepaniak
Mgr, p.o. kierownik
Studium Języków Obcych UMB.

Neuroinfekcje

W dniach 13 – 15 października 2011 roku odbyła się, pod patronatem JM Rektora UMB prof. dr. hab. Jacka Niklińskiego i Prezydenta Miasta Białegostoku dr. hab. Tadeusza Truskolaskiego, ogólnopolska konferencja naukowa nt. neuroinfekcji. Już po raz siódmy jej organizatorem była Klinika Chorób Zakaźnych i Neuroinfekcji UMB. Obrady odbywały się w sali kina „Forum”, przy ulicy Legionowej 15 w Białymstoku.

Głównymi tematami konferencji były: sytuacja epidemiologiczna i aspekty kliniczne chorób ośrodkowego układu nerwowego o etiologii zakaźnej i pasożytniczej występujących w Polsce, ze szczególnym uwzględnieniem chorób przenoszonych przez kleszcze: boreliozy z Lyme i kleszczowego zapalenia mózgu oraz ludzkiej anaplazmozji i babeszjozy. Omawiano też zagadnienia związane z wybranymi innymi chorobami zakaźnymi, a zwłaszcza ze stale zachodzącymi zmianami epidemiologicznymi. Jedną z sesji poświęcono problemom swoistej profilaktyki wybranych chorób zakaźnych.

W konferencji brali udział, jako wykładowcy, wybitni naukowcy z różnych ośrodków naukowych w Polsce oraz z ośrodków zagranicznych z Wielkiej Brytanii, Niemiec, Nowej Zelandii, Litwy i Ukrainy. W obradach uczestniczyło 250 lekarzy, reprezentujących różne specjalności, takie m.in. jak: choroby zakaźne, neurologia, epidemiologia. Było wielu lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej oraz specjalistów zajmujących się diagnostyką chorób odkleszczowych.

Sławomir Pancewicz

Prof. dr hab., kierownik Kliniki Chorób Zakaźnych i Neuroinfekcji UMB.

Doktor Football

Jego życie to dwie pasje: sport i medycyna. Grał w piłkę nożną i trenował piłkarzy, opiekował się reprezentacją Polski w piłce nożnej, był też lekarzem Adam Małyśza. Żywczanin, absolwent Akademii Medycznej w Białymstoku – dr Stanisław Ptak.

Na studia do Białegostoku trafił przez przypadek.

- Po prostu do Białegostoku było się łatwiej dostać, niż na przykład do Krakowa. A ja nie należałem do orłów, jeśli chodzi o naukę – przyznaje szczerze dr Ptak. - Ponadto w Białymstoku pracował znajomy siostry, żywczanin, Leszek Grnyo. Mieszkał na Dojlidach, w Browarze Białystok pracował jako główny piwowar (wcześniej pracował w browarze w Żywcu). Gdy przyjechałem na egzaminy wstępne, miałem gdzie się zatrzymać.

Doktor Ptak pamięta swoją pierwszą wizytę na Podlasiu.

- To był zupełnie inny świat. Rynek Sienny, targ, konie z kabląkami, których w ogóle nie było na Żywiecczyźnie i ten śpiewny wschodni akcent – wspomina.

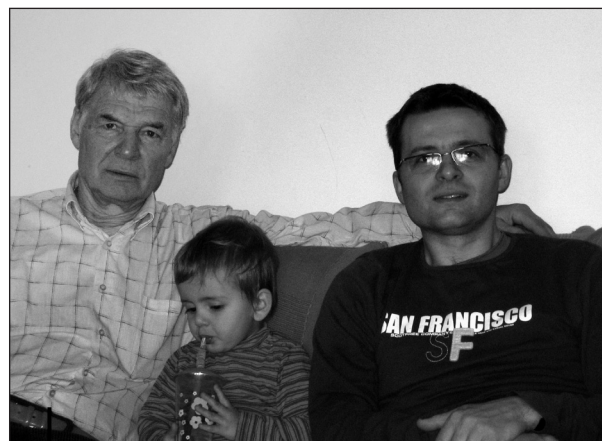
Już w szkole średniej w Żywcu grał w piłkę nożną i skakał na nartach. Sport był mu zawsze bardzo bliski. Jednak zdecydował się studiować medycynę.

- Sport można uprawiać tylko przez pewien okres życia – tłumaczy. - Ponadto medycyna zawsze bardzo mnie pasjonowała. Na pewno wpływ na to miał fakt, że moja starsza o cztery lata siostra też studiowała medycynę, tylko że w Krakowie.

Sportowcy z przywilejami

Od pierwszego roku studiów zaangażował się w grę w piłkę nożną. Najpierw trenował w Gwardii Białystok, potem we Włókniarzu Białystok. Jeszcze później został trenerem II-ligowego Włókniarza. Jako zawodnik i student jednocześnie, mógł liczyć na specjalne przywileje. Od razu dostał samodzielne mieszkanie – najpierw z Gwardii Białystok lokum przy

ul. Lenina (obecnie Branickiego), obok kina „Emo”, potem z Włókniarza Białystok mieszkanie przy Rynku Kościuszki, nad „Orbisem”. Otrzymywał też stypendium, które pozwalało mu na samodzielne życie. W zamian każdą wolną chwilę poświęcał na treningi.



Doktor Stanisław Ptak z synem Tomkiem i wnukiem Michałem.

- Kiedyś studenci medycyny nie byli tak obciążeni nauką – wspomina. - Miałem czas, by trzy, cztery razy w tygodniu przez 2 – 2,5 godziny trenować. Na szczęście na treningi miałem blisko – były na Zwierzyńcu. Poza tym wysiłek fizyczny dobrze wpływał na koncentrację. Nie miałem problemów z nauką, a na trzecim roku studiów dostałem nawet nagrodę rektorską.

W Żywcu pan Stanisław trenował również skoki narciarskie, będąc w dziewiątej klasie, startował już w barwach klubu Czarnych Żywiec. W latach sześćdziesiątych sport ten był również bardzo popularny w Białymstoku. Przy stadionie, przy ul. Kawaleryjskiej była skocznia narciarska, gdzie odbywały się zawody.

- Oddałem tam kilka skoków, kilka razy startowałem także w zawodach „Pucharu Nizin” w Goldapi – opowiada. - Przyjeżdżali tam zawodnicy z Warszawy i Bieszczad. Nie przygotowywałem się jakoś specjalnie do tych zawodów – po prostu jechałem i skakałem.

cd. na str. 18 →

cd. ze str. 17 →

Studenckie dziecko

Na początku drugiego roku studiów, na imprezie w klubie „Herkulesy” poznał żonę. Pani Aniela do Białegostoku przyjechała z Pruszkowa. W 1966 roku na świat przyszedł ich syn Krzysztof. Było to typowe „studenckie” dziecko.

- Często bywał z nami w akademikach – przyznaje dr Ptak.

Po studiach, w 1968 roku dr Ptak został skierowany na roczny staż na oddział ortopedii Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Białymstoku. Później rozpoczął tam pracę. W 1971 roku dostał powołanie do wojska – do jednostki w Orzyszu.

- Wówczas wydawało mi się, że to koniec świata – wspomina.

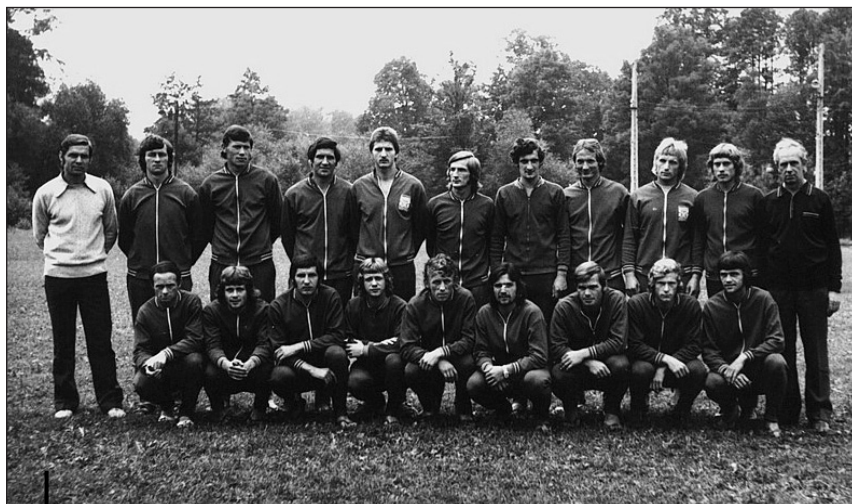
Rzeczywistość okazała się jednak nie tak straszna. Dostał pracę w szpitalu w Giżycku i stamtąd dojeżdżał do Orzysza.

- Szpital w Giżycku był na bardzo dobrym poziomie – wspomina. – Szeferował tam wspaniały ordynator – dr Leon Załuski. Miał dużą wiedzę i praktykę, był niezwykle sprawny manualnie. Dużo się od niego nauczyłem.

Dzięki osiągnięciom w sporcie, również w wojsku dr Ptak był traktowany ulgowo.

- Miałem już wówczas uprawnienia instruktorskie, zacząłem więc trenować Śniardwy Orzysz – opowiada. – Zostałem też lekarzem 7. Oddziału Dyscyplinarnego (karnej jednostki), która się tworzyła w Orzyszu. Będąc w wojsku, poznałem m.in. gen. Zygmunta Huszczy, szefa Warszawskiego Okręgu Wojskowego, prezesa Legii (w latach 1965–1972). Sport ułatwiał mi życie, byłem inaczej postrzegany.

Kiedy dr Ptak pracował w Orzyszu i Giżycku, żona z synem mieszkała w Rucianem Nidzie. Pracowała zaś w szpitalu w Pisz. Doktor Ptak z małżonką mogli spotykać się tylko w weekendy. W 1972 roku na świat przyszedł drugi syn – Tomasz. W 1973 roku cała rodzina wróciła do Białegostoku. Doktor Ptak w białostockim szpitalu wojewódzkim uzyskał specjalizacje I i II stopnia z ortopedii oraz II stopnia z medycyny sportowej. Przez kolejne dziewięć lat pracował na oddziale ortopedii szpitala wojewódzkiego i szeferował przychodnię sportowej przy ul. Jurowieckiej. Jego żona pracowała wówczas na oddziale chorób wewnętrznych szpitala wojewódzkiego. W 1982 roku wyjechali razem z dziećmi do Libii. Doktor Ptak dostał kontrakt w szpitalu w Zliten. Pracował tam jako lekarz i dodatkowo jako trener II-ligowego miejscowego klubu.



Drużyna Włókniarza. Stoją, od lewej: Stanisław Ptak (trener), Ryszard Grygorczuk, Edward Korotkiewicz, Leonard Aleksandrów, Jan Laskowski, Jan Drumski, Bohdan Kucharski, Wiesław Herman, Czesław Gościłowicz, Zbigniew Ostaszewski, Lucjan Piwowarski (działacz). Siedzą, od lewej: Ryszard Karalus, Marek Zawadzki, Waldemar Dołkin, Krzysztof Nowakowski, Henryk Bartos, Walenty Omeljanuk, Stanisław Szwejkowski, Jan Żukowski, Andrzej Laskowski. Fot. ze zbiorów Ryszarda Karalusa. Źródło: Jerzy Górka „Piłkarskie dzieje Podlasia”.

- Miałem tam wielkie poważanie, mieszkańcy nazywali mnie Doktor Football – wspomina z uśmiechem.

Już w Libii podjął decyzję, że nie wraca do Białegostoku, tylko w rodzinne strony. Rozpoczął budowę domu w Bielsku-Białej.

- Góralowi cknij się za górami. Każde wakacje, każde święta spędzaliśmy w Żywcu. Ten wschód, choć spędziłem tu jeden z najpiękniejszych okresów życia, był mi daleki – przyznaje.

W 1985 roku dr Ptak rozpoczął pracę w przychodni sportowej w szpitalu wojewódzkim w Bielsku-Białej.

Pod skrzydłami Ptaka

Kilka lat wcześniej, bo już w roku 1977, dr Ptak zaczyna pracę w komisji lekarskiej Polskiego Związku Piłki Nożnej. Na początku opiekuje się grupą juniorów, później reprezentacją młodzieżową. Razem z trenerami Waldemarem Obrębskim i Henrykiem Apostelem jeździ na turnieje do Japonii, Niemiec, Francji. Potem już towarzyszy pierwszej reprezentacji krajowej, prowadzonej przez Władysława Stachurskiego, a następnie przez Antoniego Piechnicko. Wyjeżdża z nimi na mecze do Hong Kongu, Anglii, Włoch.

- Wtedy takie wyjazdy to była wyprawa do innego świata – wspomina dr Ptak. – Dzieci pytały mnie: tatk, czemu jak wracasz z Zachodu, to jesteś smutny, a jak ze Wscho-

du to radosny? Tłumaczyłem im: u nas jest lepiej niż na Wchodzie, a na Zachodzie jest lepiej niż u nas.

W połowie lat dziewięćdziesiątych zaczyna się też opiekować kadrą skoczków narciarskich. Wówczas trenerem kadry jest Czech Pavel Mikeska. Skaczących zawodników jest niewielu: Wojciech Skupień, Robert Mateja, Adam Małysz, Łukasz Kruczek, pierwsze kroki w kadrze stawia też Marcin Bachleda. W tym czasie Małysz ma „przebłyśki” formy i nawet udaje mu się wygrać kilka zawodów Pucharu Świata. Ale nikt nawet nie śni o tym, co się ma za chwilę wydarzyć – o „Małyszomanii”.

- Kiedy Adaś Małysz zaczął odnosić sukcesy, to był wspaniały czas – wspomina dr Ptak. – Duża w tym zasługa samego Adama, bo nie dość, że jest wspaniałym sportowcem, to ma taką, a nie inną osobowość. Umie jednoczyć ludzi.

I choć Małysz zakończył karierę, dr Ptak z rodziną Małyszów cały czas ma kontakt.

- Jak ktoś z Małyszów albo Szturców (mama Małysza jest z domu Szturc – red.) zachoruje i potrzebuje pomocy, dzwoni do mnie – wyznaje.

I choć, jak przyznaje, zna i ceni sobie zarówno Adam Małysza, jak i Justynę Kowalczyk (podczas Olimpiady w Turynie w 2006 roku był jednym z lekarzy opiekujących się naszą kadrą narodową – zarówno Małyszem jak i Kowalczyk), cieszy się, że „Małyszomania” przechodzi teraz w „Justynomanię”.

- Skoczków jest w Polsce 120, może 150 – tłumaczy. - Trenować skoki można tylko na południu Polski. A biegi narciarskie może uprawiać każdy i to we wszystkich miejscach w Polsce. Nie potrzeba niczego więcej oprócz nart i chęci. A ponadto z biegania na nartach są znacznie większe korzyści zdrowotne.

Gość w domu

Doktor Ptak wie, o czym mówi. Sam, choć już po siedemdziesiątce, wciąż jest bardzo aktywny i może pochwalić się sylwetką sportowca. Zimą, kiedy tylko może, zakłada narty i biega po pagórkach, które okalają jego dom w Bielsku-Białej. W każdej wolnej chwili jedzie też do Szczyrku, by pojeździć na nartach. Przynajmniej raz w tygodniu pływa w basenie. Cały czas pracuje też na „pełnych obrotach”. Wspólnie z synem prowadzi dwie duże przychodnie sportowo-rehabilitacyjne w Bielsku-Białej. Opiekuje się również szkołami mistrzostwa sportowego, co dwa lata od strony medycznej zabezpiecza Olimpiadę Polonijną. I choć w domu nadal jest gościem, wolne chwile najbardziej lubi spędzać z wnukami – a ma ich czwórkę.

Co dwa, trzy lata bywa w Białymstoku, ma tu dużo znajomych i, jak przyznaje, cała jego rodzina ma związki z naszym miastem. Syn Krzysztof jest absolwentem UMB. Jego żona Aneta jest białostoczanką (poznał ją na stażu po studiach). Ona również jest absolwentką UMB. Ma specjalizację z dermatologii i prowadzi gabinet medycyny estetycznej w Bielsku-Białej. Żona dr. Ptaka (absolwentka UMB) wiele lat przepracowała jako ordynator oddziału chorób wewnętrznych szpitala wojewódzkiego w Bielsku-Białej. Teraz jest już na emeryturze, ale nadal pracuje na pół etatu jako konsultant na oddziale chirurgii naczyń. Młodszy syn Tomek mieszka w Krakowie i pracuje w Klinice Psychiatrii i Psychoterapii Uniwersytetu Jagiellońskiego, robi podspecjalizację z psychiatrii dziecięcej. I choć on jeden z całej rodziny Ptaków nie jest absolwentem UMB, również dobrze wspomina Białystok.

- Tomek zaczął studia na UM w Białymstoku, po dwóch latach przeniósł się do Krakowa. Ale zawsze powtarza, że z „żubrami” było mu lepiej studiować niż z „lajkonikami” – żartuje dr Ptak.

Katarzyna Malinowska-Olczyk

Rzecznik prasowy USK.

Lekarze białostoccy

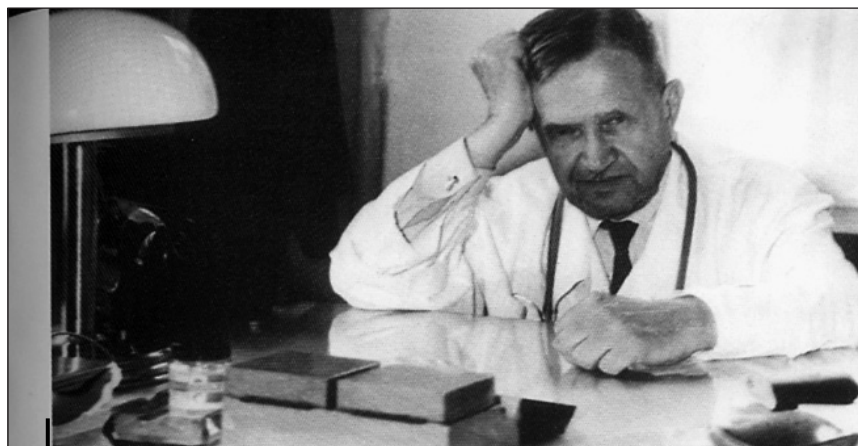
w okresach: międzywojennym i powojennym

Włodzimierz Zankiewicz (1899 – 1970)

Urodził się 1 listopada 1899 r. w Wołkowysku na Kresach Wschodnich. Ojciec Włodzimierz był nauczycielem. Włodzimierz junior naukę w gimnazjum rozpoczął w Wilnie (1911 – 1915), a ukończył w Homlu w roku 1918. Ze względu na trudne warunki materialne

studiów pracował, udzielając korepetycji. Ożenił się w roku 1924 r. z Anną Dragun. Mieli jedną córkę.

Dyplom doktora wszech nauk lekarskich Zankiewicz uzyskał w 1927 roku. Lepsze perspektywy finansowe w zawodzie lekarza ogólnego na odległej prowincji wpłynęły na jego decyzję o za-



Włodzimierz Zankiewicz, ordynator Oddziału Kardiologicznego Szpitala Miejskiego w Białymstoku.

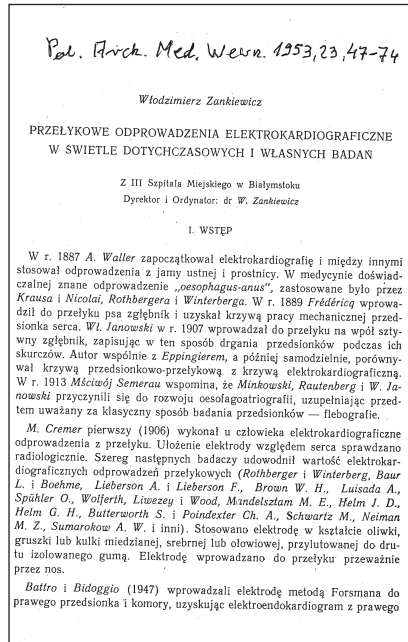
rodziny (był pólsierotą) musiał podjąć pracę zarobkową. Na Wydział Lekarski Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie wstąpił dopiero w roku 1921. W okresie

mieszkania w miasteczku Dereczyn (powiat Słonim, woj. Nowogródek). Tam od 1927 do 1934 roku pełnił obowiązki lekarza sejmikowego oraz pracował

cd. na str. 20 →

cd. ze str. 19 →

w Kasie Chorych. W 1934 roku osiedlił się w Białymstoku i objął stanowisko lekarza domowego w Ubezpieczalni Społecznej. Zajmował się pacjentami zamieszkałymi w dzielnicach Bojary



W miejscu zatrudnienia dr Zankiewicz utworzył laboratorium diagnostyczne oraz założył pierwszą w Białymstoku pracownię do badań elektrokardiograficznych. Prowadził obserwacje, a także badania zaburzeń pracy serca w takim zakresie, na jaki pozwalały mu możliwości prowincjonalnego szpitala. Jego prace doświadczalne dotyczyły także zaburzeń rytmu serca: rozkojarzeń przedsionkowo-komorowych, zespołu Mogagniego – Adamsa – Stokesa (MAS) oraz prób leczenia zaburzeń przewodnictwa w sercu kortykosteroidami. Rezultatem jego działalności badawczej były publikacje. Jedną z nich pt. „Zachowanie się różnych postaci niemiarowości serca w obrazie odprowadzeń przełykowych EKG” została wysoko oceniona przez polskich kardiologów.

Wiadomość o powołaniu w Białymstoku Akademii Medycznej dr Zankiewicz przyjął z radością, widząc w tym wydarzeniu szansę na rozwój miasta. Nie czekając na zarządzenia ogórne, przeprowadził reorganizację szpitala, co stworzyło podstawy do powołania w Białymstoku, w roku 1953, I Kliniki Chorób Wewnętrznych. Zankiewicz został w niej zatrudniony na stanowisku adiunkta. Powierzono mu również prowadzenie wykładów z diagnostyki i propedeutyki chorób wewnętrznych.

Wraz z powstaniem Akademii Medycznej w Białymstoku i powołaniem nowym klinik dr W. Zankiewicz, mając już za sobą okres samotnych i żmudnych badań, dostał szansę na nawiązanie współpracy naukowej. Dzięki temu powstały kolejne prace, tym razem dotyczące zespołu Wolffa – Parkinsona – White’a (WPW), wpływu hipotermii na zachowanie się czynności skurczowej serca, prób leczenia niewydolności wieńcowej przy pomocy diatermii krótkofalowej, diagnostyki i leczenia zawałów tylnych

ściany i przedsionków serca, a także zachowania się krążenia u hutników narażonych na przebywanie w wysokich temperaturach.

Drobiazgowa charakterystyka obrazu zespołu WPW, opublikowana przez dr. W. Zankiewicza, stała się podstawą do opracowania przez prof. Hugona Kowarzyka wektokardiogramu tego zaburzenia w sercu.

Doktor W. Zankiewicz, jako jeden z pierwszych internistów, nawiązał stałą współpracę z chirurgami. Dzięki jego trafnym diagnozom wielu pacjentom uratowano życie. Chorych po zabiegach torakochirurgicznych i pierwszych próbach operacyjnego leczenia wad nabytych serca otaczał profesjonalną opieką internistyczną. Był bezgranicznie oddany swojej pracy i chorym. W literaturze źródłowej brakuje natomiast wzmianek o jego życiu rodzinnym. Wiadomo jedynie, że miał jedną córkę Ałłę – lekarza okulistę.

i Dojlidy. Pogłębiał systematycznie swoją wiedzę w zakresie chorób wewnętrznych, dzięki czemu stał się cenionym lekarzem i konsultantem.

W latach 1939 – 1944 pracował jako konsultant w Szpitalu Miejskim Nr 2 przy ul. Sosnowej 5 oraz kierownik Oddziału Internistycznego Szpitala Nr 3 przy ul. Warszawskiej 29. W 1944 roku został ordynatorem tego oddziału, a w roku 1949 powierzono mu funkcję dyrektora szpitala. W trudnych powojennych warunkach dr W. Zankiewicz był bodaj jedynym lekarzem w Polsce, który z dala od ośrodków uniwersyteckich, rozpoczął samodzielne badania naukowe i obserwacje kliniczne. Szczególnie interesowała go kardiologia. Wiedzą i pomocą służyli mu prof. M. Semerau-Siemianowski i doc. D. Aleksandrow.



Karykatura dr. W. Zankiewicza, wykonana przez Tadeusza Cieniawę.



Skwer doc. Włodzimierza Zankiewicza.

W 1956 roku Centralna Komisja Kwalifikacyjna, na podstawie dotychczasowego dorobku naukowego, mianowała W. Zankiewicza docentem. Swoją wiedzę uzupełniał jeszcze w Instytucie Doskonalenia Kadr Lekarskich w Leningradzie.

W latach 1957 – 1960 pełnił obowiązki kierownika I Kliniki Chorób Wewnętrznych. Jako organizator, dydaktyk i lekarz oddany medycynie w jej szerokim aspekcie, zyskał uznanie władz uczelni i rektora AMB prof. T. Kielanowskiego. Został uhonorowany odznaką „Za wzorową pracę w Służbie Zdrowia” (1951 r.), „Złotym Krzyżem Zasługi” (1956 r.) i „Krzyżem Kawa-

lerskim Orderu Odrodzenia Polski” (1964 r.), Medalem „Zasłużony dla Ziemi Białostockiej”.

Był mocno związany z uczelnią. Wiedział, że wymaga ona nowych inwestycji, by się rozwijać. Ale najważniejsze dla niego było sprawne zorganizowanie opieki zdrowotnej w Białymstoku. Dążył w związku z tym do rozbudowy bazy szpitalnej. W 1960 roku podjął się trudnego zadania Szpitala Miejskiego przy ul. Sienkiewicza Nr 77. W tym szpitalu do końca życia pełnił obowiązki ordynatora oddziału kardiologicznego i konsultanta chorób wewnętrznych. Pomimo złego stanu zdrowia i przebytych dwóch zawałów serca, pracował do ostatnich dni życia. Zmarł nagle 3 lipca 1970 roku.

Pozostawił po sobie trwałe ślady w postaci rozbudowanego Szpitala Wojewódzkiego, zmodernizowanej Wojewódzkiej Poradni Kardiologicznej oraz sprawnie działającego Szpitala Miejskiego.

Działalność doc. W. Zankiewicza trafnie określił prof. T. Kielanowski, mówiąc: „Dr Zankiewicz stworzył z ruin wewnętrzny Szpital Miejski i w szpitalu tym, który od początku usiłował wzniesić na poziom kliniczny, pracował naukowo, zdobywając sobie nazwisko wśród czołowych kardiologów w kraju. W szpitalu dr. Zankiewicza gromadzili się, dyskutowali i znajdowali opiekę pierwsi pracownicy nauki, przybywający do spalonego miasta”.

Docent Włodzimierz Zankiewicz był przez wiele lat symbolem białostockiej interny, wykształcił licznych specjalistów z zakresu chorób wewnętrznych i kardiologii – uczył ich diagnostyki, skutecznej terapii, a przede wszystkim ciepła i serdeczności w stosunku do chorych.

Był współtwórcą białostockiej medycyny. Jego współpracownicy i uczniowie kontynuowali idee swojego Mistrza.

Imieniem Docenta Włodzimierza Zankiewicza nazwano skwer, znajdujący się przy skrzyżowaniu ulic Sienkiewicza i Towarowej, w pobliżu ukochanego przez niego Szpitala Miejskiego.

Mieczysław Sopek

Dr n. med., były wieloletni pracownik Zakładu Anatomii Prawidłowej Człowieka UMB.

Magdalena Szkuclarek

Dr n. med., adiunkt Zakładu Anatomii Prawidłowej Człowieka UMB.

Zoo i medycyna

Na początku października ubiegłego roku postanowiliśmy odwiedzić naszą małą wnuczkę, mieszkającą z rodzicami w Baltimore (Maryland, USA). Po kilku zimnych dniach powróciła piękna słoneczna pogoda i, korzystając z tego, wyruszyliśmy do miejscowego ogrodu zoologicznego, aby pokazać wnuczce zwierzęta. Kierowcą była nasza synowa. Po kilkunastu minutach, gdy już mineliśmy starą dzielnicę miasta, w której znajdowały się kamienice z czerwonej cegły oraz modernistyczne wille w dość opłakanym stanie, znaleźliśmy się na parkingu ogrodu zoologicznego. Jest on położony na zboczu zielonego wzgórza. Przed kasą nie było kolejki, gdyż bilety są drogie – 99\$ od osoby. Kupiliśmy specjalną kartę, umożliwiającą wielokrotne odwiedziny zoo. Pierwszy kontakt wnuczki ze zwierzętami przejawiał się pełnym zachwytem spojrzeniem i okrzykami radości.

Podczas pobytu na terenie ogrodu, a był to dzień roboczy, spotykaliśmy bardzo dużo dzieci, w wieku od kilku miesięcy do kilku lat, z rodzicami lub opiekunami. Zwiedzający zachowywali się bardzo poprawnie, nie widzieliśmy przypadków dokarmiania zwierząt. Minęliśmy dwie restauracje oraz duży sklep z pamiątkami, a następnie pojazdem, złożonym z kilku wagoników, dostaliśmy się na tereny zajmowane przez zwierzęta z Afryki. Z daleka oglądaliśmy żyrafy. Poszliśmy pomostami przez znakomicie zbudowane woliery. Po przekroczeniu śluzę spotkaliśmy się, prawie oko w oko, z dużym ptakiem o łyżkowatym dziobie, który spokojnie naprawiał swoje gniazdo. Poniżej pomostu kolorowe ptaszyska wykonywały zabawne tańce. W końcu dotarliśmy do wybiegu słoni. Na pomoście, z którego można oglądać zwierzęta, znajduje się tablica z napisem: *Zagroda dla słoni, opiekuje się Szpital Dziecięcy*. Spotkaliśmy tam geparda, którego można było oglądać z bliska, ale przez szybę.

Zwiedziliśmy jeszcze, atrakcyjną dla naszej wnuczki, małpiarnię i z ciekawymi spostrzeżeniami wróciliśmy do domu.



foto: Maciej Chodynicki



foto: Maciej Chodynicki

Godne uwagi są formy finansowania przez stanowe szpitale dziecięce części ogrodu, szczególnie tych zamieszkałych przez duże zwierzęta, takie jak słonie i żyrafy. To dobra forma reklamy, a poza tym szpitale mogą kojarzyć się dzieciom z sympatycznymi zwierzętami. Można tylko życzyć, aby nasze szpitale było stać na taki sponsoring.

Bożena Chodynicka

Prof. dr hab., p. o. kierownik Kliniki Dermatologii i Wenerologii UMB.

Stanisław Chodynicki

Prof. dr hab., em. kierownik Kliniki Otolaryngologicznej UMB.

Z szotem w garści

BEATA JARMUSZEWSKA

Wacek miał prawie 9 lat, gdy ojciec Antoni kupił mu sztambuch. Jeszcze wtedy chłopiec nie wiedział, do czego może mu posłużyć ten gruby, oprawiony w safianową skórę zwój białych, związanych kartek. Ojciec uświadomił go, że można sporządzać w nim zapiski, takie jakie robi np. ciocia Anula, kiedy kupi kurę. - „Ale ja przecież kury żadnej nie kupuję!” – zawołał zdziwiony młodzieniec. Ale od tego wrześniowego dnia skrupulatnie spisywał to, co działo się w jego życiu.

I oto w dniu swoich osiemdziesiątych urodzin Wacław znalazł mocno wypłowiały i zakurzony zeszyt na półkach swej biblioteki. Była to opowieść o tym, jak ze smarkacza zrodził się dojrzały człowiek.

Smarkacz

Zaczęło się w Petersburgu, w maju roku 1903. W domu Korabiewiczów urodził się Wacek, syn Antoniego i Stefanii z domu Matusiewicz. Był najmłodszym z rodzeństwa, miał siostrę Irenę i brata Tadzika. Jak każde małe dziecko, lubił kołysać się na bujaku i grać w żeglarzy. Później przeżywał swoje pierwsze miłości i rozstania. Świat dorosłych uznawał za przedziwny. Trochę się złościł, że wszyscy mówią o jakiejś Polsce, konstytucji (myślał, że to imię króla), i na to, że w jego domu odbywają się zebrania Filarecji, na które on nie ma wstępu. Gdy rozpoczął naukę w gimnazjum, filareta Władek

Korsak, przyszły polski minister, zaproponował mu udział w polskim skautingu, którą to propozycję Wacek przyjął z ogromnym zadowoleniem. Został nawet szpiegiem sprawy polskiej wśród skautów rosyjskich (ale ostatecznie nie potrafił ich zdradzić, został ich komendantem i przyjacielem).

Już w roku 1917 wybuchły rewolucje. Bolka – męża Ireny, aresztowano,

*Dwa lata przesiedział
w prosektorium wśród
„wymoczonych w wannach
trupów, nasiąkniętych
formaliną”. Nie tak wyobrażał
sobie życie akademickie*

a niedaleko domu Korabiewiczów, pod mostem, leżały trupy. Na Gwiazdkę zaś Stefania otrzymała od żołnierza rosyjskiego tragiczny prezent. Przyszedł on z zawiadomieniem o śmierci jej starszego syna. Tadzikowi kula rozerwała jelita. Wiedząc, co go czeka, popełnił samobójstwo. Wacek dusił łkanie w gardle. Płakał tylko w swoim pokoju, po cichu, tak, żeby Stefania nie widziała. Bo jej mu było żal najbardziej. Wciąż milczała i z bólu pełzała po podłodze.

W końcu zapadła decyzja o wyjeździe na Litwę, do domu w Gierżdzelach. W swoim dzienniku Wacek odnotował, że smarkacza zgubił po drodze.

Młodzik

Na Litwie, gdy wracał rowerem od przyjaciela Stefana, Wacek zobaczył leżącego przy nasypie kolejowym zabitego dwudziestokilkuletniego żołnierza. W rękę trzymał on kurczowo fotografię rodzinną. „Był człowiek. Kochał, tęsknił, planował i oto zjawił się na jego drodze inny człowiek. Ten miał pierwszeństwo, wycelował i strzelił. Zabił drugiego człowieka. Nie znał go. Po prostu zapolował, bo ten uciekał z kartofliska jak zając, jak zając...”. Ten widok Wackiem wstrząsnął tak mocno, że od tej pory chłopak postanowił walczyć głównie o siebie i swoje życie. Słowa „nie wypada” przestały dla niego istnieć. Do dziś wielu twierdzi, że Korabiewicz miał tupet.

Ale jako nastolatek, w dodatku wychowujący się bez ojca (Antoni wdawał się w romanse ze swoimi pacjentkami, dlatego Stefania wyprowadziła się z domu), był wrażliwym, romantycznym nastrojowcem, upajającym się bezwietrzną nocą przy pełni księżyca. Wierzył w miłość czystą i niewinną. Taką właśnie poczuł do Maruszki, „siostry miłosierdzia”, która co wieczór wracała do domu w towarzystwie pijanych i śmierzących „oficeriszków”. Nawet gdy wyjechała w „świat wojny”, a Wacek dojrzał i zrozumiał, dlaczego nazywano takie dziewczyny, jak ona „rozsadnikiem zarazy w wojsku”, nigdy nie pozwolił powiedzieć na nią złego słowa. W jego wspomnieniach pozostała jako dobra i skromna dziewczyna. A to, co robiła czy robić musiała, zamknęło się w słowie „wojna”.

Proces dorastania Wacka dramatycznie przyspieszyła również sytuacja 17-letniej, chorej na gruźlicę kuzynki. Mery mieszkała wraz z matką w domu Korabiewiczów. Wszyscy unikali jej z obawy przed zarażeniem chorobą. A ona wołała o dotyk. Prosiła nawet Stefana, by przed śmiercią wziął ją jako kobietę. Egoistyczny instynkt życia okazał się jednak silniejszy niż sentymenty. W Wacku utkwiło wówczas przekonanie, że ludzie są okrutni, gdy walczą o siebie.

Właśnie to zdarzenie wieku dojrzenia odarło jego świat z poświaty romantyczności.

Akademik

W dodatku, po tym, jak matka powiedziała: „Oj Wacek, Wacek!... jaki ty podobny jesteś do ojca. Byłe spód-

*Prawdziwą rozkosz odczuł,
gdy po raz pierwszy ujął
szot w garść. Z wypraw tych
wyniósł także zamilowanie do
medycyny niekonwencjonalnej
– wierzył w potęgę wody
i radiestezji*

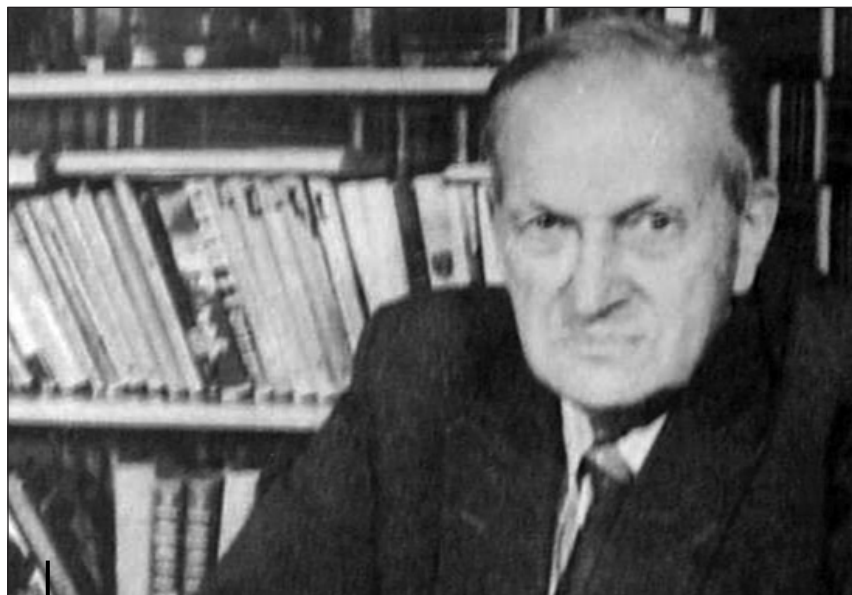
niczka, byłe spódniczka...”, obraził się i odtąd dąsał się już na każdego, kto miał czelność nazwać go Casanovą. W roku 1927 przyjechał na studia do Wilna i chciał być już dojrzały: „Będę czytał same poważne książki. Przeszanę trwonić czas na Bernardynki i... Stefy”.

Medycynę rozpoczął przez atawizm – jak sam stwierdził. Dziad Edmund, dziad Edward, a i ojciec – wszyscy lekarze, w dodatku uhonorowani w pracy filantropijno-lekarskiej. A że w dodatku Waclaw był upartym, dumnym buntownikiem, chciał udowodnić przyjaciółom i nauczycielom, że da radę ukończyć trudne studia medyczne. Wszyscy znajomi twierdzili, że na widok trupa będzie uciekał, gdzie pieprz rośnie, a profesor gimnazjalny wykładający propedeutykę filozofii mawiał,

że z niego jest nastrojowy uczuciowiec, a nie żaden rzeźnik. Chciał nawet się z nim założyć, że i tak szybko przeniesie się na humanistykę. Na przekór tym opiniom Waclaw wstąpił na Wydział Lekarski Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie. Zły był na siebie za ten wybór. Dwa lata przesiedział w prosektorium wśród „wymoczonych w wannach trupów, nasiąkniętych formaliną”. Nie tak wyobrażał sobie życie akademickie. Znalazł sztywną atmosferę naukowców, mówiących do siebie „per pani” czy „per pan”. A on chciał być prawdziwym studentem – takim, który się bawi i tryska energią. Dlatego nigdy nie działał w Kole Medyków.

Ale ze studiów nie zrezygnował, choć ukończył je dopiero w 1931 roku (rozpoczął w roku 1922). Matka bo-

warzyskiego. Tworzyli „szopki akademickie”. Kupili kajaki, żaglówkę. Urządzali spływy, treningi, zabawy. Wychodzili na ulice ze śpiewem i z tańcami. Przykładem niech będzie wielkie widowisko, oparte na miejscowej legendzie o bazyliuszku, w dzielnicy Bakszta. Całe miasto żyło tylko tą imprezą. Mieszkańcy Wilna włączali się też w inne przedsięwzięcia „włóczągów”, między innymi w akcję propagandową przeciw zwalczaniu produkcji towarów zagranicznych. W pochodzie nieśli transparenty z napisami: „Oto tu picusia macie, co angielskie nosi gacie”, „Nikt nie kocha tej pieszczoszki, co francuskie ma pończoszki” albo „Przykro patrzeć! – same gnaty, zagraniczne marynaty”. W swoim pamiętniku Waclaw napisał: „Poczułem, że działam,



Waclaw Korabiewicz (1903 – 1994).

wiem powtarzała: „Tylko słabi, mój synku, załamują się i skaczą z wydziału na wydział, ludzie mocni są konsekwentni i kontynuują raz rozpoczętą pracę”. Dlatego swoje marzenia i pasje Waclaw realizował poza studiami. Wstąpił do Sekcji Twórczości Oryginalnej przy Kole Polonistów oraz do Akademickiego Koła Włóczągów, będącego „przeciwstawieniem korporanckich deklów”. Chcąc rozruszać społeczność akademicką, jego członkowie wspólnie organizowali bale – oczywiście bez tej całej etykiety *savoir vivre*’u dobrze urodzonego świata to-

jednym słowem... żyję, a nie wałkonię się, «cium-cium-drypciu» przy boku dziewczyny”.

W dodatku Klub Włóczągów nie był tylko odskocznią od mało interesujących studiów. Była to jego druga rodzina. Gdy w czasie obrony doktoratu u profesora Wilczyńskiego z biologii, Waclaw dziękował na auli rektorowi i profesorom za życzenia, członkowie klubu wtargnęli na salę, chwycili go za barki i zaczęli podrzucać do góry. Zamiast „Gaudeamus” radośnie śpiewali „Kurdesza” – pieśń klubowiczów. Oklaskom i gratulacjom nie było końca.

cd. ze str. 23 →

Kilometr

Czas studencki był uwerturą do dzieła jego życia. W tym okresie Waław rozpoczął bowiem również coś, co rzutowało na całą jego przyszłość. Po



przyjeździe do Wilna, wstąpił do Ligi Morskiej i Kolonialnej. Czuł, że poprzez wodę się odradza. A miłość ta narodziła się jeszcze w czasie, gdy był małym dzieckiem i okrywał się dzianą ręcznie przez matkę kołdrą, na której widniały łańcuchy i cumy zakończone kotwicą lub różą wiatrów. I tak ze smarkacza, bawiącego się w żeglarsza, stał się świadomym podróżnikiem.

Miłość do morza łączył z wyuczonym zawodem. Po studiach pracował jako lekarz w Państwowej Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni (marzył o studiach na tej uczelni, ale nie zostałby przyjęty z powodu słabego wzroku), a potem przez osiem lat był lekarzem okrętowym na „Darze Pomorza”. W 1934 roku zorganizował samodzielnie rejs. Wyruszył wraz z żoną (łazanką Janiną, zwaną w klubie Pimpą, której oświadczył się na przystani) kajakiem (!) do Indii. Przebyli niewyobrażalnie długą trasę, bo przez Ukrainę, Sambuł, Syrię, Irak czy Pakistan. Z tej podróży Waław wyniósł inne spojrzenie na idee chrześcijańskiej wszechmiłości. Właśnie w Indiach odkrył, że śmierć i zmartwychwstanie Jezusa nie były faktem cielesnym, a jedynie symbolem,

a Chrystus po ukrzyżowaniu opuścił Izrael i powrócił do Indii. Jego tezy spotkały się z nie lada krytyką, choć tak naprawdę nie były bluźnierczym manifestem, tylko przyczynkiem do rozprawy analitycznej. Drażniło go bowiem fanatyczne zaślepienie, wierzył w potęgę rozumu i postęp.

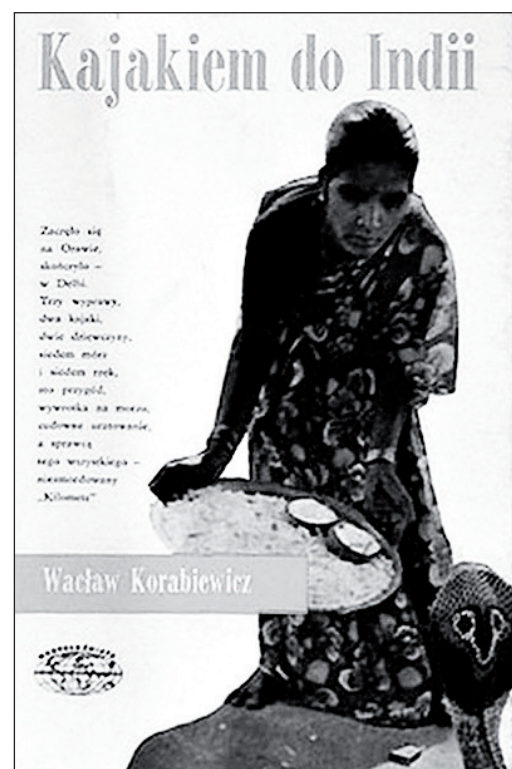
Był przekonany, że ludzkość zostawiła za sobą piramidę trupów i buduje teraz lepszy świat powojenny. Aż przyszła wojna roku 1939. Wraz z załogą „Daru Pomorza” Waław został internowany w Sztokholmie. Następnie pracował na statku motorowym „Piłsudski”, a potem na krótko osiedlił się w Londynie. Założył tam Koło Opieki nad Żołnierzem. Zaangażował się też w pomoc jeńcom wojennym w Ameryce Południowej.

Przemierzał kilometry, choć przydomek „Kilometr” zyskał jeszcze w Klubie Włoczęgów z racji wysokiego wzrostu (mierzył 193 cm). W 1942 roku odbył wyprawę do serca brazylijskiej dżungli. A już rok później zdobywał artefakty afrykańskiej kultury, jako Delegat Rządu RP w Londynie. W 1946 roku udał się do Zambii z ramienia Ministerstwa Opieki Społecznej. Miał otoczyć opieką polskich jeńców, przebywających w obozach Rodezji Północnej. Niedługo potem przekroczył granice Tanganiki, gdzie pracował jako lekarz w miejscowym szpitalu oraz zastępca kustosa w „King George Vth Memorial Museum”. Prowadził wówczas badania nad tamtejszą kulturą ludową. Wyniki swoich analiz, w postaci licznych

ekspонатów, wysłał do polskiego muzeum. Został za to wydalony z Tanganiki. Zmuszony był wyjechać do Londynu, a stamtąd do Etiopii, wciąż pracując jako lekarz. Powrócił tam raz jeszcze w późniejszym okresie, już jako badacz folkloru. Wspomnienia z tych podróży Waław uwiecznił na kartach swoich publikacji, m.in. w: *Kajakiem do Indii*, *Żaglem do jogów*, *Kajakiem do minaretów*, *Mato Grosso*. Z *notatek wypychacza ptaków*, *Kwaheri*, *Safari Mingi*. *Wędrowki po Afryce* czy *Do Timbaktu*. Z wypraw tych wyniósł także zamiłowanie do medycyny niekonwencjonalnej – wierzył w potęgę wody i radiestezji, czemu wyraz dał w *Cudach bez cudu*. *Rzecz o dziwnych lekach*.

W Warszawie zamieszkał dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych. Pracował wówczas w placówce epidemiologicznej, ale i tak większość czasu poświęcał organizowaniu wystaw poświęconym zbiorom sztuki afrykańskiej.

Nigdy się nie zmęczył aktywnym trybem życia. Woda „otrząsała precz dreszcz zniewolenia i niemocy”. Lubił „bawić się swoją wodą, patrzeć na nią, przewijać się przez wodorosty, dobywać muszle z dna [...]”. A prawdziwą rozkosz odczuł, gdy po raz pierwszy ujął szot w garść. Swoją ostatnią rejs odbył zimą roku 1994 roku. Urnę z jego prochami zatopiono w Morzu Bałtyckim.





**Doktor
ADAM HERMANOWICZ**

Jak kruche może być życie ludzkie, mogłem się przekonać na początku marca, w kilkadziesiąt godzin po zakończonym sukcesem meczu Polska – Portugalia na Stadionie Narodowym. Sukces był raczej organizacyjny, ale i tak spowodował, że z mediów, które przez dwa tygodnie po odwołaniu meczu o Superpuchar Polski grzmiały o hańbie, jaką okrył się Naród Polski, zeszło nieco pary. Wcześniej z lubością rozgniatano rząd i minister Muchę medialnym walcem, zaś wszelkiej maści redaktorzy gorliwie sprzedawali światu wiadomość: *Euro nam się nie uda!* Przy okazji mówili, że Stadion Narodowy jest brzydki, że nie da się na nim rozgrywać zawodów lekkoatletycznych, a białe elementy elewacji wyglądają tak, jakby były brudne. Ogólnie mamy syfi i dyletantwo. Główna telewizja informacyjna od rana do wieczora na żółtym pasku pokazywała, jak rozwija się sprawa skandalicznie wysokiej premii, jaką za wybudowanie tego bądziewia otrzymał prezes Narodowego Centrum Sportu. Czołowe

twarze stacji powtarzały, że nie mogą zrozumieć, dlaczego w dobie kryzysu fundujemy sobie w stolicy kraju stadion, gdy w Słupskiem dzieci głodują. I buch! – przebitka na dzieci z sierocińca.

Aż tu zdarzył się cud: mecz rozegrany, podświetlany stadion budzi zachwyt prawie 50 tysięcy widzów, portugalscy piłkarze wychodzą i cmo-kają, że takiego cudeńka jeszcze nie widzieli i że mamy się czym pochwalić. Nasi piłkarze ostrożniej (bo właśnie są nasi i wiedzą, czym grozi pochwalenie czegoś w ojczystym kraju) mówią, że w Bundeslidze biegają po gorszych arenach. Główna telewizja informacyjna, tabloidy, a nawet opozycja doznają objawienia i próbują się pod sukces podczepić, bezwstydnie udając, że jest on wspólny.

I wtedy właśnie me życie zawisło na włosku. Precelek, który spokojnie spożywałem, oglądając wywiad Moniki Olejnik z posłem Brudzińskim, utknął mi w gardle, kiedy tenże zaatakował minister Muchę za to, że nie podzieliła się splendorem z otwarciem stadionu ze swoją, wówczas pisowską, poprzedniczką Elżbietą Jakubiak. Wydawałoby się, że w polityce wszystkie chwytysą dozwolone i nic nie powinno nas już dziwić. A jednak okazało się, że są

Jak precelek uczcił stadion

jeszcze granice, których przekroczenie może spowodować udławienie się widza precelkiem. No bo gdzie była pani Jakubiak, kiedy minister Mucha stawiła czoła żadnym jej krwi mediom? Czemu wtedy nie wzięła jej w obronę?

Precelek w przełyku spowodował błyskawiczny, jak u tonącego, powrót wspomnień z niezliczonych wizyt w Warszawie, rozpoczynających się od przejazdu obok „Jarmarku Europa”, i pojawienie się uczucia wstydu, jakie mnie wtedy ogarniało. Miejsce, w którym obecnie turyści pstrykają sobie pamiątkowe zdjęcia z najnowocześniejszą areną piłkarską Europy w tle, przez lata było synonimem brudu, bałaganu i biedy naszego kraju. Choćby, nie wiem jak się napinali malkontenci, choćby uczeni architekci wypłakali morze łez nad zeszpeceniem „unikatowego krajobrazu tego miejsca” (fakt, był unikatowy w skali Europy – w Azji i Afryce sporo jest jeszcze podobnych miejsc), nic nie zmieni faktu, że liczący 40 milionów ludności kraj w środku Europy ma wreszcie Stadion Narodowy w centrum stolicy.

Precelek też doszedł do wniosku, że warto to uczcić, bo szczęśliwie wypadł, nie robiąc mi większej krzywdy. Nie warto umierać za politykę. ■

Białystok garnizonowy

Część 1.

○ Białymstoku napisano już wiele, ale autorzy rzadko przekraczali bramy koszar. A za nimi przebywała wyjątkowa społeczność, rządząca się swoimi prawami i regulaminami, czuła na punkcie przestrzegania tajemnicy wojskowej, co utrudnia historykom badania. Było tak, że garnizon białostocki pełnił rolę „żandarma”, ciążył złowrogo nad miastem. Ale również przez dziesięciolecia stanowił dumę Białegostoku, zapewniał ochronę mieszkańcom. Dziś liczba żołnierzy (18. Białostocki Pułk Rozpoznawczy) i funkcjonariuszy (Podlaski Oddział Straży Granicznej) nie jest imponująca, są to jednak doborowe oddziały i bardzo przyjazne mieszkańcom.

Wojska hetmana wielkiego koronnego

Właściciel Białegostoku, Jan Klemens Branicki karierę wojskową rozpoczął późno, bo w wieku 35 lat, ale szybko sięgnął po zaszczyty, hetmaństwo polne koronne objął w 1735 roku, a wielkie koronne w roku 1752. Podczas licznych uroczystości pałacowych, przy powitaniach znakomitych gości (w tym głów koronowanych), w dniach imienin Jana i jego żony Izabeli ładnie prezentowali się podlegli hetmanowi konni dragoni oraz piechurzy z kompanii węgierskiej i janczarskiej. Jeszcze strojniej wyglądały pododdziały hufca nadwornego, zwłaszcza konni z lekkiej chorągwi i ze szwadronu ułanów. Do tego dodać trzeba artylerzystów (11 dział, wśród nich dwie armaty wielkie spiżowe z Gryfem) oraz milicje konną i pieszą.



**ADAM
CZESŁAW DOBROŃSKI**

Wojsko, liczące około 2 tys. żołnierzy (z milicjami), kwaterowało w zabudowaniach pałacowych, a ćwiczenia odbywały się na Polu Marsowym, w pobliżu ogrodów. Na wiat grzmiąły moździerze, w należytym porządku utrzymywano karabiny i pistolety, pałasze, sztucze, fuzje, janczarki. Hetman miał kilka kompletów broni ozdobnej, w tym karabellę chińską z klingą turecką oraz szablę chińską złotem nabijaną. Jeśli wierzyć pamiętnikarzom, to wojsko Branickiego było dobrze wyszkolone i karnie trzymane. Michał Starzeński zapisał, że: „służba wojska odbywała się tu niemal z surowością pruskiej dyscypliny, łagodzonej tylko saską uprzejmością”, nawet adiutantów hetmańskich „pobudka poranna wyciągała bez litości z łóżka”.

Zaszczyty i wątpliwości

Zygmunt Koszyła uznał, że: „z uwagi na siedzibę hetmana wielkiego ko-

ronnego, Białystok stał się w drugiej połowie XVIII wieku wojskową stolicą Rzeczypospolitej”. Ładnie to brzmi, ale nadto wiwatowo. Wielkość hetmana podkreślały pamiątki po pradziadzie po kądzieli, pogromcy Szwedów, hetmanie Stefanie Czarnieckim i podobizny Herkulesa. Nie brakło i pochlebców, nawet piszących wierszem. Jednak o sukcesach wojennych Jana Klemensa Branickiego księgi milczą, zabrakło hetmana i w bitwie pod białostockimi Olmontami, stoczonej między konfederatami barskimi i oddziałami rosyjskimi 13 lipca 1769 roku. Prawda jest taka, że dobrodziej Białegostoku „prochu nie wachał”. Dowódcą garnizonu był gen. Stanisław Łętowski, też bardziej administrator niż liniowiec. O gen. Andrzeju Mokronowskim mówić hadko, bo to drugi, nieoficjalny mąż Izabeli. Na pewno na pochwały zasłużył płk Henryk Klemm, tyle że za sprawą dokonań architektonicznych. Popularnością cieszył się koniuszy hetmana płk Andrzej Węgierski, a nawet do niedawna pałacyk gościnny przy ul. Kilińskiego nazywano Domkiem Koniuszego.

I jeszcze jedno pytanie: czy rzeczywiście „pierwszą w Polsce szkołą oficerską była Wojskowa Szkoła Budownictwa i Inżynierii powstała w połowie XVIII wieku w Białymstoku”? Znamy programy, osoby nauczające i dokonania niektórych wychowanków, a z nich najlepiej wspomnianego już Michała Starzeńskiego. Trzeba tę inicjatywę Jana Klemensa Branickiego doceniać, chociaż szkoła bardziej przypominała obecne kursy.

Po śmierci Jana Klemensa Branickiego (1771 r.), nad jego trumną w krakowskim kościele św. Piotra i Pawła skruszono kopię, złamano buławę i tarczę z herbami. To był ostatni taki pogrzeb w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Natomiast z Białegostoku odeszły wojska, pozostali jedynie inwalidzi i oficerowie w stanie spoczynku.

Po III rozbiore Rzeczypospolitej

Białystok po 1795 roku dostał się Prusom, które uczyniły go stolicą departamentu. Nie mogło w tej sytuacji zabraknąć w mieście wojska. Na około 4 tysięcy mieszkańców przypadało w końcu XVIII wieku 560 żołnierzy, którym z kolei towarzyszyło 200 kobiet i ponad 250 dzieci (razem około 1020 osób). Wojskowi nie byli już jednak tak barwni, jak ci od hetmana Branickiego, ani taki zróżnicowani pod względem rodzaju posiadanej broni. Za to byli zdyscyplinowani, poddani drylowi, wchodzili w skład czterech kompanii batalionu fizyliarów (strzelców) i regimentu Bośniaków. Nie dysponowali artylerią, miasto nie miało umocnień, więc można tamten garnizon białostocki uznać za tyłowy, bardziej nastawiony na kontrolowanie ludności cywilnej, niż szykujący się do wojny. Ta wydawała się zresztą niemożliwa, rozbiory Polski scementowały sojusz rosyjsko-prusko-austriacki i mało kto wiedział, że w dalekiej Francji wschodziła gwiazda Napoleona. Oficerowie pruscy w Białymstoku, jak i ich pobratymcy cywilni, zadziwiali ludność miejscową wyglądem i stylem życia. Mieli udział w założeniu łoży masonskiej, niektórzy wyżsi oficerowie nabywali domy.

Od końca 1806 roku wojska napoleońskie, wspomagane przez formowane oddziały polskie, prowadziły działania wojenne przeciwko Prusom i Rosji. Z niecierpliwością na wyzwolenie ziem czekali patrioci polscy. Dopiero 26 czerwca 1807 roku skierowano do Białegostoku płk. Walentego Kwaśniewskiego z niemal tysiącem kawalerzystów i piechurów. Niestety, wcześniej na zachód od miasta pozycje obronne zajęli Rosjanie, a wkrótce układający się w Tylży Napoleon I i car Aleksander I zadecydowali o przekazaniu ob-

wodu białostockiego Rosji. W mieście nad Białą zapanował smutek, cieszone się w Łomży i Suwałkach.

Niespełnione nadzieje

Tylko na krótko, w końcu czerwca 1812 roku zawitały do Białegostoku

na pewno brakowało, ale i miejscowa ludność polska nie kwapiła się z pomocą. Białystok pozostał w Cesarstwie Rosyjskim, rzeki: Bug, Nurzec, Narew i Biebrza oddzieliły obwód od Polski, bo tak mówiono na Księstwo Warszawskie, a potem i na Królestwo Kongresowe.

Jeszcze w październiku 1813 roku pracowały w Białymstoku lazarety ro-



Cerkiew garnizonowa przy obecnej ulicy Traugutta – 1916 r. Źródło: Internet: skyscrapercity.com.

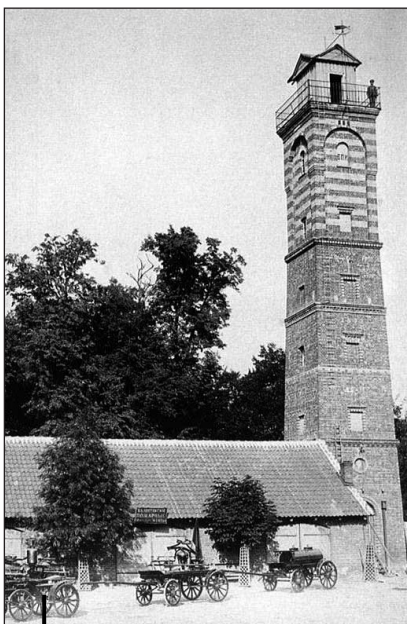
wojska wchodzące w skład Wielkiej Armii, zmierzającej na Moskwę. Nie były to jednak pułki polskie i nawet nie francuskie, tylko sojusznicze saskie, a w dodatku w okolicy działali partyzanci rosyjscy. Miasto na przełomie lat 1812/1813 nie było przygotowane do obrony, a poza tym leżało ono na szlakach przemarszów sił carskich. Car Aleksander pozdrowiał z wysokości bramy pałacu Branickich swe zwycięskie pułki wracające z Francji. Przybywało magazynów i lazaretów, koniecznością stał się remont szopy, stojącej w pobliżu kościoła i cmentarza św. Rocha, służącej artylerzystom rosyjskim. Zadanie to miał wykonać architekt M. Grauert, ale otrzymał zbyt mało nowej słomy o odpowiednich wymiarach, więc zdołał zmienić pokrycie tylko w części dachu. Skutek był taki, że kilka miesięcy później miejscowy komendant garnizonu donosił o przeciekach w porze deszczów. Materiałów budowlanych

syjskie. Na ten cel zajęto: dom skarbowy w parku przypałacowym, dom drewniany przy teatrze, zwany kamerdylnym, dom murowany przeznaczony dla zastępcy naczelnika obwodu (wicegubernatora) przy Nowolipiu 173 (przedmieście za Bramą Choroską vel Tykocińską, obecna część ul. Lipowej), lazaret pruski przed cerkwią (Nowolipie nr 239), przyszkółek żydowski, dom gimnazjalny i dom skarbowy też przy Nowolipiu. Ponadto chorzy i ranni żołnierze leżeli w co najmniej 25–27 domach prywatnych.

Powstaje garnizon rosyjski

Rosjanie stopniowo nasycali Białystok oddziałami wchodzącymi w skład Korpusu Litewskiego (nadano mu numer V) oraz batalionu pomocniczego (policyjnego). Im bardziej niespokojnie działało się w Królestwie Polskim (Kongreso-

cd. ze str. 27 →



Wieża obserwacyjna straży pożarnej przy ulicy Aleksandrowskiej (ob. Warszawskiej) – 1897 r.
Źródło: Internet: skyscrapercity.com.

wym), tym większe siły carskie koncentrowano za jego wschodnią granicą. W pałacu Branickich mogli zamieszkać wyjątkowo tylko najwyżsi dowódcy, a dla pozostałych oficerów oraz podoficerów i szeregowców wynajmowano kwatery lub stawiano namioty. Zdarzało się, że w mieście przebywało kilkunastu generałów, zaś liczba zajętych przez wojsko kwater (izb) przekraczała pół tysiąca. Potrzebne były ponadto pomieszczenia sztabowe i magazyny, stajnie i podwoły konne, miejsca szpitalne. Prawdą jest jednak, że niektórzy białostoczanie robili dobre interesy na dostawach żywności, prowiantu i opatu, czego przykładem byli członkowie rodziny Zabłudowskich. 5 lutego 1831 r. V Korpus wymaszerował przeciwko warszawskim „buntownikom”, a w pałacu zamieszkał uciekinier wielki książę Konstanty. Smutny widok stanowiły kolumny prowadzonych ulicami Białegostoku jeńców polskich, mieszkańcom dawali się we znaki maruderzy i dezertjerzy rosyjscy, a w następnych dziesięcioleciach niepokoje towarzyszyły również poborom do wojsk carskich. I trudno się dziwić, skoro służba w odległych guberniach mogła trwać i 25 lat.

26 listopada (7 grudnia według nowego stylu) 1830 roku szpitalowi białostockiemu zmieniono kategorię z pierwszej na drugą. W początkach stycznia 1831 roku liczba miejsc wzrosła w nim do 200, jednak wojsko domaga-

ło się dalszej rozbudowy, by ulokować w nim 1 200 chorych. W pierwszej kolejności zamierzano zająć pod lazaret dom drewniany (tzw. folwarczny), należący do kompleksu pałacowego, i budowane właśnie piętrowe więzienie przy ul. Wasilkowskiej (obecnie ulice Sienkiewicza, Ogrodowa). Poczyniono i przygotowania do przejścia na potrzeby szpitalne sal w klasztorach w Supraślu i Choroszczu oraz hal fabrycznych w Gródku. Zarządzono mobilizację lekarzy cywilnych, nakazano ściąganie szarpki, przyspieszenie dostarczenia płótna i sukna szpitalowi białostockiemu. Walcząc z czasem, zarządzono zebranie tkanin we wszystkich powiatach obwodu, w odpowiednich proporcjach z dymów (gospodarstw) włościańskich, szlacheckich i mieszczańskich. Szpital-lazaret w Białymstoku wielkością był porównywalny z tego typu placówkami w Brześciu, Dyneburgu, Grodnie i Wilnie.

Zaczęła się budowa koszar

W czasie powstania styczniowego w Białymstoku panował pozorny spokój, odgłosy o starciach zbrojnych dochodziły znaną Narwi i z Puszczy Knyszyńskiej, a nowo oddaną do użytku Koleją Warszawsko-Petersburską przejeżdżały eszelony z posiłkami dla wojsk rosyjskich. Zwiększył się garnizon miejscowy, stacjonował tu pułk piechoty (częściowo w obozach poza miastem) i przybyła brygada artylerii, ulokowana w niedużych koszarach w rejonie ulic Nowoszejnaja (Dąbrowskiego) i Lipowej (pozoostałością ul. Artyleryjska). Te tendencje nabrały na znaczeniu po pogorszeniu się stosunków rosyjsko – niemieckich i uruchomieniu następnych linii kolejowych. Powstawał przemysłowy „Manchester Północy”, jednocześnie i wielki garnizon, który wzmacniał społeczność rosyjską, ale ze szkodą dla Polaków.

W 1879 r. ruszyła pierwsza w Białymstoku inwestycja koszarowa między dawnymi Piaskami a Zwierzyńcem, gdzie obecnie znajdują się szpitale i część osiedla. Tu osadzono 61. Włodzimierski Pułk Piechoty, a przed wybuchem I wojny światowej jego miejsce zajęły bataliony 62. Suzdańskiego i 63. Uglickiego Pułków Piechoty. Stawiano sposobem gospodarczym głównie prymitywne budynki drewniane dla żołnierzy i więk-

sze obiekty murowane tzw. specjalnego przeznaczenia. Przy obecnej ulicy Wołodjowskiego zlokalizowano i białostocki szpital wojskowy. W pobliżu pojawiły się wkrótce sklepiki i zakłady rzemieślnicze, bazarki, potajemki, a ulica We-soła nawiązywała swą nazwą do uciech z udziałem „pań wojskowych”.

Wielki garnizon carski

Powstanie w Europie bloku militarnego Trójprzymierza (Niemcy, Austro-Węgry, Włochy) sprawiło, że Rosja poczuła się jeszcze bardziej zagrożona. Do Białegostoku przysyłano kolejne pułki i brygady, więc zaplanowano nowe koszary. Tym razem budowane przez przedsiębiorców żydowskich w trzech rejonach: od 1884 roku koło kolejowego dworca Poleskiego (późniejszy Fabryczny) dla 64. Kazańskiego Pułku Piechoty; od 1887 roku największy kompleks przy obecnej ul. gen. J. Bema dla 12. Mariampolskiego Pułku Dragonów (Huzarów) i od 1890 r. przy obecnej ul. Kawaleryjskiej dla 11. Charkowskiego Pułku Dragonów (Ułanów). Ponadto wojsko carskie zajęło w centrum miasta budynki na sztaby dywizji i korpusu (w kamienicy Moesa przy obecnej ul. Krakowskiej, róg św. Rocha, a także przy ulicach Botanicznej, św. Rocha, Kilińskiego), na zarządy i urzędy, dla żandarmerii. W koszarach wzniesiono cerkwie.

Robert Wróblewski ustalił, że: „w ciągu pięćdziesięciu lat Białystok «gościł» na kwaterach 64 carskich generałów i ponad dziesięć różnych oddziałów piechoty, kawalerii, artylerii oraz cały szereg różnorodnych dowództw, komendantur i służb pomocniczych. W szczytowym momencie w Białymstoku przebywało na stałe dziewięciu generałów, a garnizon liczył ponad 6000 zaborczych żołnierzy”. Część z nich wzięła udział w tłumieniu wystąpień ulicznych i strajków w latach 1905 – 1907, a kozacy również we wzniecaniu pogromu żydowskiego. Wojsko było widać i czuć na każdym kroku, co czyniło arcytrudnym wszelką działalność popolską, natomiast – to fakt – sprzyjało koniunkturze rynkowej.

Za miesiąc napiszę o garnizonach polskich w Białymstoku XX wieku.

Autor jest prof. dr. hab. – pracuje na Wydziale Historyczno-Socjologicznym Uniwersytetu w Białymstoku.

Z Senatu

Podczas posiedzenia 27.02.2012 r. zostały podjęte uchwały w sprawach:

- wprowadzenia „Uczelnianego Systemu Zapewnienia Jakości Kształcenia na Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku”,
- wprowadzenia Kodeksu Etyki Studenta i Doktoranta na Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku,
- powołania składu Uczelnianej Komisji Rekrutacyjnej na rok akademicki 2012/2013,
- powołania na rok akademicki 2012/2013 Wydziałowej Komisji Rekrutacyjnej Wydziału Lekarskiego z Oddziałem Stomatologii i Oddziałem Nauczania w Języku Angielskim na kierunku: lekarski, lekarsko-dentystyczny, techniki dentystyczne,
- powołania Wydziałowej Komisji Rekrutacyjnej Wydziału Lekarskiego ds. Nauczania w Języku Angielskim na rok akademicki 2012/2013,
- powołania składu Wydziałowej Komisji Rekrutacyjnej Wydziału Farmaceutycznego z Oddziałem Medycyny Laboratoryjnej na rok akademicki 2012/2013,
- powołania składu Wydziałowej Komisji Rekrutacyjnej Wydziału Nauk o Zdrowiu na rok akademicki 2012/2013,
- uruchomienia na Wydziale Nauk o Zdrowiu studiów stacjonarnych II stopnia na kierunku Logopedia z Fonoaudiologią,
- uruchomienia na Wydziale Nauk o Zdrowiu studiów II stopnia na kierunku Ratownictwo Medyczne,
- kryteriów oceny dorobku naukowego, uprawniającego do wszczęcia i przeprowadzenia postępowań o nadanie stopni i tytułu naukowego,
- wyrażenia zgody na ustanowienie służebności przesyłu na nieruchomościach stanowiących mienie Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku,
- utworzenia studiów doktoranckich na Wydziale Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku.

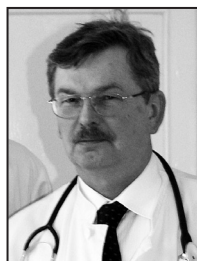
Senat wyraził Opinię nr I/2012, w sprawie wyrażenia zgody na przystąpienie Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku do centrum naukowego pn. Center for Innovative Research.

Krystyna Dyszkiewicz

Kierownik Rektoratu

Nominacje

W roku 2011 nominacje na profesora nauk medycznych otrzymał m.in. doktor habilitowany **Sławomir Andrzej Pancewicz**.



Sławomir Andrzej Pancewicz, ur. w 1953 roku w Białymstoku. Studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Białymstoku ukończył w 1978 roku. Po studiach podjął pracę w Klinice Chorób Zakaźnych i Neuroinfekcji (poprzednie nazwy: Klinika Chorób Zawodowych, Klinika Chorób Zawodowych i Pasożytniczych).

Jest specjalistą w dziedzinie chorób zakaźnych i medycyny rodzinnej. Pełnił trzykrotnie funkcję konsultanta wojewódzkiego w zakresie chorób zakaźnych. W 1992 roku uzyskał stopień doktora nauk medycznych, a w 2004 roku doktora habilitowanego nauk medycznych. Jest autorem/współautorem 180 publikacji naukowych. Główna problematyka badawcza dotyczy epidemiologii i kliniki wybranych chorób zakaźnych i pasożytniczych, szczególnie chorób przenoszonych przez kleszcze, chorób odzwierzęcych (włośnica, brucelloza, tularemia), zakażeń ośrodkowego

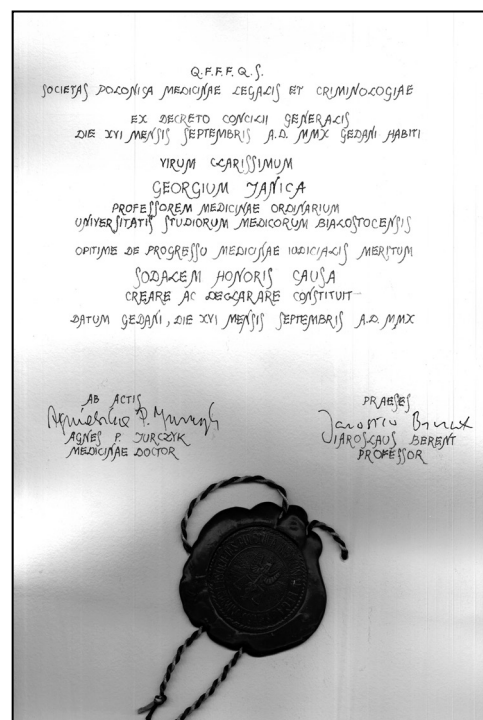
układu nerwowego, aspektów patogennych i klinicznych boreliozy z Lyme oraz udziału układu antyoksydacyjnego w patogenezie chorób odkleszczowych: w kleszczowym zapaleniu mózgu i boreliozie z Lyme.

Jest promotorem trzech zakończonych prac doktorskich i kilku podyplomowych. Uzyskał łącznie czternaście nagród JM Rektora UMB za osiągnięcia naukowe i dydaktyczne.

Od 2006 roku jest kierownikiem Kliniki Chorób Zakaźnych i Neuroinfekcji UMB. W roku 2012 został wybrany do Komitetu Parazytologicznego PAN.

Informujemy

Na IV Łódzkim Sympozjum Naukowym pt. *Przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu „Cesarka”*, które odbyło się w dniach 08 – 09.09.2011 r. w Smardzewicach nad Zalewem Sulejowskim, prof. dr hab. Jerzy Janica, emerytowany kierownik Zakładu Medycyny Sądowej UMB, otrzymał tytuł honorowego członka Polskiego Towarzystwa Medycyny Sądowej i Kryminologii.



Doktoranci UMB mają nowe możliwości pozyskiwania funduszy na badania naukowe.

Z dniem 1 lutego 2012 r. ruszył projekt współfinansowany ze środków Unii Europejskiej pn. „Studiuję, badam, komercjalizuję – program wsparcia doktorantów UMB”.

W ramach projektu wsparciem stypendialnym objętych zostanie 60 doktorantów UMB, zamieszkałych na terenie województwa podlaskiego, i 30 pracowników etatowych, którzy mają wszczęte przewody doktorskie i są zatrudnieni jako asystenci. Stypendyści odbędą trzydniowe szkolenie w zakresie pozyskiwania funduszy na badania naukowe, ochrony własności intelektualnej i komercjalizacji wiedzy w dziedzinie nauk medycznych, farmaceutycznych i nauk o zdrowiu.

Projekt realizowany będzie do 30 września 2014 r. Szczegółowe informacje na stronie internetowej: <http://www.sbk.umb.edu.pl/>.



Naukowa Fundacja Polpharmy otwiera XI edycję konkursu na finansowanie projektów badawczych ze środków Fundacji. W tej edycji konkursu będą przyjmowane prace oryginalne, wnoszące istotne wartości do medycyny i farmacji.

Wniosek o finansowanie projektu badawczego powinien być złożony zgodnie z regulaminem konkursu. Regulamin, formularz wniosku oraz oświadczenia znajdują się na stronie internetowej: www.polpharma.pl/fundacja.

Termin przyjmowania wniosków upływa z dniem 31 maja 2012 roku (decyduje data stempla pocztowego). Rozpatrzone zostaną jedynie wnioski złożone pod adresem Fundacji: ul. Bobrowiecka 6, 00-728 Warszawa.

Bliższych informacji udziela sekretariat Naukowej Fundacji Polpharmy, e-mail: fundacja@polpharma.com, tel. 22 364 63 13.

To już było

O **Kazimierzu Jurgielanecu**, absolwencie PSLP w Supraślu, członku Zespołu Polskich Artystów Plastyków Polska Sztuka Użytkowa, mówi się, że *maluje z wrażliwością, którą wzbudza w nim żywioł*. Inspiracji artysta szuka w przyrodzie. Specjalizuje się w malarstwie sztalugowym w technikach olejnej i akrylowej oraz mieszanej. Jego obrazy można oglądać w Internecie na prywatnej stronie pod adresem: www.jurgielanec.pl.

- *Pomimo potęgi i uniwersalności, jaką niesie ze sobą Internet, pamiętaj, że żaden plik graficzny nie odda piękna, emocji i ciepła, jakie ma w sobie oglądany w naturalnym świetle obraz – przestrzega Jurgielanec.*



Kazimierz Jurgielanec i Danuta Dąbrowska-Charytoniuk, p.o. Dyrektor Biblioteki Głównej UMB, podczas otwarcia wystawy, 01.02.2012 r.

Dlatego swoje obrazy prezentuje podczas licznych wystaw indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą. Jedną z nich pt. „Zapiski z podróży” miłośnicy sztuki mieli okazję obejrzeć w dniach 01 – 29. 02. 2012 r., w sali multimedialnej Biblioteki Głównej UMB.

Od 20 marca do 3 kwietnia 2012 r. można było oglądać wystawę akwarel **Lesława Pilcickiego**. Artysta urodził się w 1946 r. w Konnen, w gminie Supraśl. Ukończył studia politechniczne. Jest członkiem Związku Artystów Plastyków Polska Sztuka Użytkowa.

Maluje głównie pejzaże, inspirując się okolicami Podlasia. Dwukrotnie był laureatem na międzywojewódzkich wystawach akwarel im. M. Strońskiego „Ściana Wschodnia”.

bj.



Wernisaż wystawy w Bibliotece Głównej UMB, 20.03.2012 r.

Centrum Kosmetologii i Farmacji



**Co 10 zabieg
GRATIS !**

**Upiększanie i pielęgnacja
urody twarzy i ciała
wykonywane przez
profesjonalnych
kosmetologów i studentki**
(opłata tylko za materiał)

Rejestracja

85 748 5827

85 748 5820

ul. Akademicka 3

*dłonie
od 15 zł
twarz od 20 zł
ciało od 20 zł*